



Marion Lennox



*Lekarz z
Manhattanu*

Tytuł oryginału: Dating the Millionaire Doctor

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Pięciominutowe randki to kiepska impreza, pomyślał Jake. Tego wieczoru poznał dziewięć kobiet, a ta ostatnia zapowiadała się wręcz beznadziejnie.

Spojrzał na wydruk ze zwięzłą charakterystyką kandydatek. „Victoria, dwadzieścia dziewięć lat, wolna”. Mało obiecujące.

– Miło mi cię, Victorio, poznać. – Gratulacje, pomyślał. Fantastyczne zagajenie.

– Koleżanki nazywają mnie Tori – odparła, odrywając wzrok od podłogi. Ucieknij?

– To twoje pierwsze podejście do randek w pięć minut?

– Tak. Twoje też?

– Owszem.

Niezbyt błyskotliwa wymiana zdań, przyznał w duchu. Co by tu jeszcze powiedzieć?

Wcześniej poznane dziewczyny tryskały energią i błyszczały dowcipem. Nie musiał się wysilać. Ale teraz, kiedy wypadałoby się, postarać, wątpił, czy warto.

Czy ta Tori w ogóle się stara?

Victoria, albo raczej Tori, sprawiała wrażenie stuprocentowej prowincjuszki. Miała na sobie czarną spódnicę do kolan, podniszczone czarne szpilki i białą bluzkę z żabotem, a kasztanowe kręcone włosy po prostu związała białą wstążeczką. Była nieumalowana i nie miała żadnej biżuterii. Po co się zgłaszała, jeśli nie zależy jej na wyglądzie? Zmarszczki wokół oczu zdecydowanie ją postarzały, ale ona najwyraźniej tym się nie przejmowała.

Zaczął podejrzewać, że podobnie jak on wcale nie miała ochoty na taką randkę.

Zarządca australijskich nieruchomości doktora Jake'a Huntera obiecywał dobrą zabawę, ale chyba przesadził. Skoro jednak już tu się znalazł, musi coś powiedzieć.

– Czym się zajmujesz?

– Ratuję dzikie zwierzęta.

To do niej pasuje. Uszczęśliwianie innych na siłę. Nie, nie, nie miał nic przeciwko uszczęśliwianiu innych.

– Te, które ucierpiały w pożarach buszu?

– Tak.

Rozmowa się nie kleiła. Pół roku wcześniej wielki pożar spustoszył niemal cały dystrykt, ale Jake jako przyjezdny nie bardzo wiedział, jak o tym rozmawiać. Może powinien zapytać, czy jej dom spłonął albo czy ucierpieli jej bliscy?

Ale fakt, że zgłosiła się na pięciominutową randkę, świadczył o tym, że nie bardzo ją to dotknęło. Mimo wszystko należy tego tematu unikać. Zapadło milczenie.

– A... a ty? – wykrztusiła. Jeszcze trzy i pół minuty.

– Mieszkam w Stanach, ale mam tu nieruchomości, w dolinie i wyżej. Przyjechałem się rozejrzeć. Może wystawię je na sprzedaż.

– Pożar ich nie zniszczył?

– Nie bardzo. Dogląda ich mój zarządca. To on mnie namówił na tę dzisiejszą imprezę.

– Nie jesteś amatorem szybkich randek?

– Nie – przyznał zgodnie z prawdą. Tori wygląda na osobę, która nazywa rzeczy po imieniu. – Rob wciągnął mnie w to w ostatniej chwili. Powiedział, że brakuje jednego faceta.

– Wolałbyś być gdzie indziej?

– Owszem.

– To znaczy, że marnuję twój czas. – Nagle szara myszka przeistoczyła się w coś zupełnie innego. Wyraźnie kamień spadł jej z serca. Wstała, po czym uściśnęła mu dłoń o wiele mocniej, niż się spodziewał. – To ostanía runda, więc możemy już ją zakończyć. Dobranoc.

Ku jego zdumieniu uśmiechnęła się szeroko i promiennie. Tak, że jej nijaka twarz nagle stała się zachwycająco piękna. Ale nie było mu dane długo cieszyć się tym widokiem, bo Tori puściła jego rękę, odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi.

Siedział osłupiały, bo ledwie wstała od stolika, wydała mu się... śliczna? Tak, śliczna, pomyślał.

Zorientował się, że patrzy za nią nie on jeden, lecz wszyscy zebrani w sali głównej ratusza Combadeen. Równie zdumieni jak on.

Zerwała jego randkę. Pozbawiła go zniewalającego uśmiechu. Pójść za nią?

Nie. Dobrze zrobiła, bo i jego takie randki nie kręcą. Żadne randki go nie kręcą. Znalazł się w Combadeen tylko po to, by sprawdzić stan nieruchomości ojca, podpisać dokumenty umożliwiające ich sprzedaż oraz podjąć decyzję w sprawie ośrodka wypoczynkowego. Załatwi to i wyjedzie. W Stanach czeka na niego praca. Tam jest jego miejsce.

Więc dlaczego taki zdziwiony patrzy na tę prowincjonalną myszkę, która właśnie znika?

Po co w ogóle tam poszła? Namówiła ją na to Barb, przyjaciółka od serca. Oszukała ją, mówiąc, że brakuje im jednej kobiety, bo ten Jake jasno dał jej do zrozumienia, że znalazł się tu, aby było do pary, że wyświadcza przysługę organizatorom. Bezczelny typ.

Odetchnęła głęboko czystym chłodnym powietrzem, jakby sala w Combadeen Hall była pełna dymu. No cóż, zapewne nigdy się nie uwolni od swądu spalenizny. Ogień, który strawił te góry, odmienił jej życie, a ona jeszcze nie dojrzała, by zacząć nowy etap.

– Proszę, przyjdź – błagała ją Barb. – Brakuje nam dziewczyny do pary. Będzie fajnie. Tori, życie może znowu być piękne. Spróbuj.

Więc spróbowała. Ale bez większego przekonania, pomyślała, spoglądając z niezadowoleniem na swoją spódnicę. Trochę już za długo ubiera się w używane ciuchy.

Tori, a oficjalnie doktor Victoria Nicholls, lekarz weterynarii, nie musiała korzystać z pomocy organizacji dobroczynnych, ale odzew całego społeczeństwa był potężny, toteż sale ratusza pękały w szwach od darów, a jej szkoda było czasu na zakupy.

Niczego sobie nie kupiła od momentu...

Nie, nie myśl o tym.

Może jednak nie powinna odcinać się od tych wspomnień, może to pomaga goić rany. Tak, od momentu pożaru nie była na zakupach. Od pożaru nie spotyka się z żadnym mężczyzną, nawet wcześniej... ale wtedy miała Toby'ego. A raczej myślała, że ma Toby'ego. Kanalia. Na samą myśl o nim robiło się jej niedobrze. Jak mogła myśleć, że go kocha?

Wykazała się przerażającą głupotą. Popełniła fatalny błąd, przez który straciła wszystko, więc dlaczego znowu naraża się na podobne ryzyko?

Cholera, musi się pozbierać. Są na świecie dobrzy ludzie. I porządni faceci. Musi się nauczyć ufać ludziom. Ten Jake sprawiał wrażenie...

Znużonego. Przymuszonego. Interesującego?

Może Barb ma rację, twierdząc, że powinna częściej wychodzić, bo Jake poruszył w niej struny, o których zdążyła już zapomnieć.

Przystojny, ale nieogolony, to minus, bo się nie postarał. Ona sporo się naszukała, zanim znalazła tę idiotyczną bluzkę, a on przyszedł na randkę zarośnięty. Ale to mu dodawało seksapilu, do tego ciemne włosy i piwne oczy z siateczką zmarszczek świadczących o tym, że normalnie nie jest znużony, że często się uśmiecha.

Głupoty! Spotkała tego wieczoru dziesięciu mężczyzn i wszyscy zrobili na niej wrażenie niezainteresowanych oraz nieciekawych i mimo że ten Jake wydawał się... ciekawy, okazał się największym gburem.

Raz już postąpiła jak idiotka, więc zawierając w przyszłości bliższą znajomość z facetem, musi kierować się zdrowym rozsądkiem, a nie hormonami, a przy Jake'u grały w niej tylko one. I to jak!

Z uczuciem niesmaku wsiadła do swojego grata, po czym wyjechała z parkingu, skręcając w drogę prowadzącą w góry. Najwyższa pora wracać.

Niech Barb mówi, co chce, ale ona nie jest jeszcze gotowa zaczynać nowego życia. To, które teraz prowadzi, pochłania ją bez reszty.

Czy rzeczywiście? Barb ma rację, przyznała w końcu. Ten okres w jej życiu dobiega końca. Więc co dalej?

Cokolwiek, pod warunkiem, że jej decyzje będą rozsądne, a nie wymuszone hormonami. Z tym postanowieniem nacisnęła pedał gazu.

– Któraś ci się spodobała?

Rob, zarządca działek Jake'a oraz jego przyjaciel z czasów studiów, patrzył na elegancką blondynkę, która kołysząc biodrami, szła do swojego

sportowego auta. To była jego faworytka. Niewykluczone, że coś z tego wyniknie.

Inaczej Jake. On nie miał zamiaru się angażować. Chyba był szalony, zgadzając się wziąć udział w tym maratonie. Przyjechał tu na krócej niż tydzień, a wszystkie kobiety, które poznał, nie ukrywały, że liczą na „coś więcej”.

Jego to nie interesuje, bo miłość wybito mu z głowy już w dzieciństwie. Wychowywała go matka, która do śmierci wieszała psy na Australijczyku, który go spłodził. Utrzymywała, że jego ojciec był najpodlejszą formą życia na Ziemi. Miłość kończy się płaczem, powtarzała mu, odkąd zaczął chodzić, czyli odkąd wróciła z nim do Ameryki, raz na zawsze, jak twierdziła, żegnając się ze złudzeniami.

Może jej zawiedzione marzenia odcisnęły i na nim swoje piętno? Zapewne psychoanalityk odpowiedziałby mu na to pytanie, ale na pewno by go nie zmienił. Nie interesują go trwałe związki i już. Może się przyjaźnić z kobietami, lubi ich towarzystwo i nie ma nic przeciwko romansom, ale po co narażać się na udreki wynikające z poważnego związku?

Rob za to wspomina ten wieczór, jakby ktoś mu przychylił nieba, jakby tylko czekał na miłość. Żałosne.

– Co ty widzisz w tych szybkich randkach? – dziwił się Jake, na co Rob uśmiechnął się ironicznie.

– Gdzieś jest ta przeznaczona mi kobieta. Muszę ją znaleźć. Żadna cię nie poraziła?

– Twoja pani jest super – przyznał Jake wspaniałomyślnie. – Ale mnie żadna nie ruszyła.

– Co powiedziałaś doktor Nicholls, że wyszła przed końcem?

– Jaka doktor Nicholls?!

– Tori. Wiem od Barb, że jest weterynarzem, gdzieś tam w górach. Należy do tej grupy, której wynająłeś swój dom. Wydaje mi się, że już ją gdzieś widziałem, ale od czasu pożaru panuje tu kompletny chaos. W negocjacjach zawsze pośredniczyła Barb. Dzisiaj... nie udało mi się nawiązać z nią normalnej rozmowy, ale przynajmniej wytrzymała ze mną całe pięć minut, a z tobą nie wytrzymała. Powiedziałeś jej coś przykrego? Barb mi łeb ukreści, jak ją obraziłeś.

– Czym mogłem ją obrazić?

– Ty walisz prosto z mostu, a to nie zawsze się sprawdza.

– Po prostu nie lubię kłamać.

– Więc co jej powiedziałaś? – naciskał Rob.

– Że znalazłem się tam, żeby było do pary.

– Oczywiście – mruknął Rob. – Bardzo zachęcające. Ja biorę udział w takich imprezach, bo jestem łaskawy.

– Stary, to i tak bez znaczenia. – Jake wsunął ręce do kieszeni i zapatrzył się w niebo. Tęsknił za Manhattanem, gdzie gwiazdy znajdowały się w witrynach sklepowych, a nie wysoko na niebie. – Sprzedam dom i wyjadę, chociaż nie rozumiem, dlaczego nie możesz mnie w tym wyręczyć.

– Śmiem ci przypomnieć, że ci to proponowałem, ale ty po raz pierwszy wyraziłeś zainteresowanie i oświadczyłeś, że przyjedziesz i zrobisz to sam.

– Bo ta cena wydała mi się absurdalnie niska.

– Człowieku, zastanów się, kto będzie chciał kupić dom w regionie, w którym często szaleją pożary.

– Ale mimo to znalazłeś chętnych do dzierżawy.

– Tylko dlatego, że dokoła uratowały się pastwiska. I zdecydowałeś się nie pobierać opłaty. Teraz, pół roku później, wszędzie są zielone pastwiska, ale przesiąknięte dymem. Ceny działek w górach pójdą w górę, ale dopiero

kiedy ludzie trochę zapomną o pożarze. Tutaj każdy kogoś stracił. Masz szczęście, że cię tu wtedy nie było.

Ha, szczęście ma różne twarze, pomyślał Jake, gdy jechali do drugiej posiadłości: drewnianego domu z przyległą winnicą. Matka na pewno by uznała, że ma szczęście, bo nie musi tu mieszkać. I na pewno byłaby niepokieszona, że on teraz tu się znalazł.

Nie mógł tu nie przyjechać. Był bogaty jeszcze za życia ojca, ale po jego śmierci majątek Jake'a znacznie się powiększył. Nieruchomości w Australii, liczone nawet po cenach po pożarze, warte były fortunę.

Poza wsparciem finansowym, zdaniem matki udzielanym niechętnie, ojciec w innej formie w jego życiu nie zaistniał. W dzieciństwie z nim się nie kontaktował. Odezwał się nagle dwanaście lat temu, gdy Jake obronił dyplom. Napisał do niego list z gratulacjami i życzył sukcesów w przyszłości. Zaintrygowany Jake odpisał. Dowiedział się wtedy, że ojciec jest lekarzem i pracuje w górach nieopodal Melbourne.

Uznał wówczas, że mógłby poznać człowieka, który na niego łożył. Zaproponował, że go odwiedzi.

– Słyszałem, że twoja matka jest chora i na pewno nie byłaby z tego zadowolona – powiedział ojciec. – Mam drugą żonę. Każde z nas poszło swoją drogą. Czy jest sens? Po tylu latach? Cieszę się, że zrobiłeś dyplom i jestem z ciebie dumny. Żałuję, że nie mogłem się z tobą wcześniej skontaktować, ale teraz... niech już tak zostanie.

Więc tak zostało. Jake rzucił się w wir pracy, obiecując sobie, że kiedyś wybierze się do Australii, ale pięć lat temu ojciec niespodziewanie zmarł na rozległy zawał.

W końcu jednak Jake wylądował w Australii. Przyleciał na pogrzeb. Siedział w kościele w tylnych ławkach, wstrząśnięty smutkiem miejscowej

społeczności. Obserwował, jak obcy ludzie płaczą z powodu śmierci jego ojca, człowieka, którego on nigdy nie poznał. Ojca, który nawet nie zaprotestował, gdy matka zmieniła nazwisko ich syna na swoje. Z którym nic go nie łączyło.

Ale gdy nieśmiało wyjawiał starszej pani obok, kim jest, zdziwił się niepomiarownie, gdy się okazało, że ona wie o nim całkiem sporo.

– Byłam pacjentką Starego Doktora... Zatem pan to Jake. – Uśmiechnęła się przez łzy. – Jego syn z Ameryki. Pana zdjęcie wisiało na ścianie w jego gabinecie. Nieraz dawałam mu do zrozumienia, że to nie w porządku, że matka pana stąd zabrała, a on odpowiadał: „To, że on jest w Stanach, nie znaczy, że przestał być moim synem. Kocham go, gdziekolwiek mieszka”.

Kochał go? Pierwszy raz o tym usłyszał. Kobieta chciała go przedstawić sąsiadom, ale on był tak wstrząśnięty, że szybko wyszedł.

Może powinien był już wtedy sprzedać te nieruchomości, ale czuł, że byłoby to nie na miejscu. Nękanie sprzecznymi informacjami – ojciec naprawdę o nim myślał? – oraz moralnym aspektem takiego spadku wynajął Roba, by zarządzał nieruchomościami, a sam wrócił do Stanów. Do pracy na stanowisku głównego anestezjologa w szpitalu Manhattan Central. Ale tu wrócił.

Manwillinbah Lodge, dawniej własność macochy, wytwórnia win i pierwotnie elegancki pensjonat, przez jakiś czas po pożarze służył jako przytulisko dla poszkodowanych. Teraz, dzięki wysiłkom Roba, wrócił do poprzedniej funkcji, ale gości było niewiele.

Rob od dawna pracował w branży hotelarskiej. Pięć lat wcześniej, oczywiście w pogoni za kobietą, znalazł się w Australii i skorzystał z propozycji poprowadzenia pensjonatu, ale ponowne rozkręcenie interesu przerastało jego siły i entuzjazm. Druga nieruchomość, wyżej w górach, ta,

gdzie mieszkała Tori i jej towarzysze, uległa poważnemu zadymieniu i od pół roku była szpitalem dla zwierząt.

Może powinien wszystko sprzedać? Pozbyć się wszelkich śladów po ojcu, którego nie znał, zerwać ostatnią nić? Rob znajdzie inną pracę. On zawsze optymistycznie patrzy w przyszłość.

Jechali za samochodem blondynki. Rob to przyspieszał, to zwalniał w rajdowym tańcu godowym. Jake z niedowierzaniem kręcił głową.

– Odczep się ode mnie – odezwał się Rob, czytając w jego myślach. – Pomyśl o swoim życiu erotycznym.

– Mnie to nie dotyczy.

– W tym sęk. Na moje życie składa się praca, wino i kobiety. Na twoje pacjenci, pacjenci, pacjenci... i zmartwienia. Nie martw się. Pensjonat zacznie hulać.

– Możliwe. – Nagle się zastanowił, czym się martwi. Wytwórnia win zarobi na pensjonat, a on nie ma problemów finansowych, więc właściwie po co tutaj siedzi?

A Dom Starego Doktora, jak nazywają go miejscowi, wyżej w górach? Warto się czepiać, że cena za niska? – Jutro tam pojedę, zgłoszę pośrednikowi i wyjadę.

– Do pacjentów.

– To moja praca.

– Ty i praca – mruknął Rob. – Jak myślisz, dlaczego namówiłem cię na te randki? Żebyś zaczął żyć.

– Żyję.

– Akurat – odparł Rob bez przekonania. – Jasne.

ROZDZIAŁ DRUGI

Czuła, że przegrywa tę nierówną walkę, a na domiar złego ktoś dobijał się do drzwi. Pielęgniarka rzuciła jej pytające spojrzenie.

– Nie otwieraj – mruknęła Tori. – Ona kona.

Jak wiele innych zwierząt pożar zaskoczył młodą samicę koala, ale na szczęście dzień po pożarze znaleźli ją strażacy i przywieźli do Tori.

Wydawało się, że miś dobrze reaguje na leczenie, ale kilka dni wcześniej Tori zauważyła, że rana na tylnej łapie ropyje. Pomimo podanego antybiotyku zakażenie nie ustępowało, więc należało oczyścić ranę, oczywiście w znieczuleniu ogólnym. Powstał jednak pewien istotny problem. Schronisko było w stanie likwidacji, więc Tori nie dysponowała odpowiednim wyposażeniem weterynaryjnym.

Zwożenie zwierzęcia na dół, do drugiego weterynarza, wyczerpałoby je bardziej niż sam zabieg, zatem Tori podjęła decyzję o operowaniu go w asyście pielęgniarki Becky. Ale to nie wystarczało, bo konieczny był specjalista, który by reagował na zmieniający się z minuty na minutę stan pacjenta.

Starła się oczyszczać ranę jak najprędzej, ale to i tak było zbyt wolno, bo zwierzę gasło w oczach.

– Jest tam kto?! – zawołał męski głos.

Po chwili Tori usłyszała, że nie czekając na odpowiedź, mężczyzna wszedł do środka. Podniosła głowę, by wrzasnąć, żeby się wynosił. Ale to był Jake, ten, z którym jej randka trwała półtorej minuty.

– Wyjdź – warknęła.

– Chyba przestała oddychać – powiedziała Becky. Bliska płaczu Tori pochyliła się nad misiem.

– Mogę pomóc? – zapytał Jake.

Pokręciła głową. Trzeba zwierzaka intubować. Ale jeśli przestanie zajmować się raną... Nie da rady robić dwóch rzeczy naraz.

– Chyba że potrafisz intubować... – szepnęła bezradnie. Nie powinno się tego robić ze względu na nietypową budowę jamy gębowej oraz gardła tych zwierząt, co w połączeniu ze skłonnością do niskiego poziomu tlenu we krwi sprawia, że znieczulenie jest nader ryzykowne. Bez drugiego weterynarza...

– Potrafię – odparł. – Nie przerywaj sobie.

– Potrafisz?!

Stał już nad tacą z instrumentami.

– Rozmiar rurki?

– Cztery milimetry.

Weterynarz? Możliwe, pomyślała, gdy wybrał właściwą rurkę i podszedł do stołu. Nieważne, kim jest, ważne, że wie, co robi. Uciskała ranę, by zahamować krwawienie, więc mogła obserwować, jak Jake pracuje, od czasu do czasu wydając Becky polecenia.

Jakby nagle archanioł Gabriel zstąpił z nieba. Proście, a będziecie wysłuchani. Nawet sobie nie zdawała sprawy, że się modli.

Nieważne, skąd przyszedł, nieważne, że nie ma skrzydeł, że odzywa się szorstko, że nie otacza go niebiańska poświata – bezwarunkowo zasługuje na miano anioła. Wydawało się jej, że zwierzak został podłączony do tlenu w kilka sekund. Niebieska linia na monitorze drgnęła raz, potem drugi. Żyje.

– Siedemdziesiąt uderzeń na minutę – zameldował Jake. – Jak to się ma do normy?

Zatem nie weterynarz. Albo weterynarz, który się nie zna na koalach.

– Trochę za mało, ale o wiele lepiej niż przed twoim przyjściem. – Wróciła do swojej pracy, żeby jak najszybciej opatrzyć ranę i zakończyć znieczulenie.

Zdarza się, że koale umierają w znieczuleniu. Ten nie umrze... Błagam.

Najwyraźniej czytał w jej myślach.

– Mocno pokiereszowany – zauważył. – Uśpienie nie byłoby lepszym rozwiązaniem? – Przyglądał się zwierzęciu.

– I to mówi człowiek, który ją uratował? Utrzymajmy ją przy życiu, potem pogadamy o etyce.

– Zgoda.

Becky trzymała się w tle. Tori domyślała się, że kamień spadł jej z serca, że nie musi robić tego, czego nienawidzi. Przez ostatnie pół roku robiły to nieustannie, usypiając dziesiątki zwierząt.

Jak komuś wytłumaczyć, że po tylu tak przykrych rozstaniach jedno życie staje się nieproporcjonalnie ważne? Ten miś nie ma imienia. A raczej... nie powinna mu go nadawać. Bo nie wolno angażować się emocjonalnie.

Ale, oczywiście, się zaangażowała. Koala Numer Trzydzieści Siedem, trzydziesta siódma ofiara pożaru, musi wrócić na wolność i ona zrobi wszystko, żeby tak się stało. Wygra tę ostatnią bitwę. Musi.

Dzięki temu mężczyźnie jest na to szansa.

Kim on jest? Zakładając koali opatrunek, podniosła spojrzenie na Jake'a. Nie spuszczał wzroku z monitorów, całkowicie skupiony na tym, co robi. Nie ostrzegła go, że intubowanie koali jest ryzykowne, bo nie było na to czasu, ale chyba wyczuł to instynktownie. Jak to możliwe?

Może jednak jest weterynarzem albo anestezjologiem dziecięcym. Czasami miała wrażenie, że weterynaria i pediatria mają wiele wspólnego. W

obu przypadkach ma się do czynienia z różną wagą i różną wielkością, w obu przypadkach pacjent nie potrafi wyjaśnić, gdzie go boli.

Kim on jest?

Skończyła. Tętno osiemdziesiąt, nasycenie tlenem dziewięćdziesiąt procent. Koala Numer Trzydzieści Siedem ma szansę przeżyć. Bezwiednie dotknęła jego pyszczka, błogosławiąc go w myślach.

– Żyj – wyszeptała. – Tyle już wytrzymałaś. Może ci się uda.

– Może jej się uda. – Jake ostrożnie usunął rurkę i z zadowoleniem patrzył, jak zwierzak zaczyna normalnie oddychać. – Kto za nią zapłaci?

– Dobre pytanie. – Odniosła koalę do klatki, po czym podłączyła kroplówkę. Na tym koniec.

Prawdziwy koniec, pomyślała nagle. Już nic nie musi robić. Dziwne uczucie. Przez pół roku od pożaru pracowała bez wytchnienia, bo do jej schroniska zwożono zwierzęta ze wszystkich stron. Był taki czas, kiedy pięćdziesięciu wolontariuszy pracowało tu przy trzystu zwierzętach: kangurach, walabiach, oposach, papugach, koalach. Tyle bitew, takie straty...

Już po wszystkim. Te, które można było uratować, zostały wypuszczone na wolność. Przyszły wiosenne deszcze, busz się odradzał, przybywało pożywienia i wody.

Ten mały miś to jej ostatni podopieczny. Spoglądając na niego, poczuła, jak ściska się jej serce na myśl o tych wszystkich stworzeniach, które zawiodła...

– Mogę już wyjść? – Becky wyrwała ją z zadumy. – Ben na mnie czeka.

– Jasne, Becky, dzięki za pomoc.

– Już ci nie będę potrzebna, prawda?

– Nie. – Spojrzała na misia. Jeśli zajdzie konieczność kolejnego zabiegu, nie będzie miała wyboru. Decyzja, którą podejmie, nie wymaga pomocy Becky.

– Do zobaczenia – powiedziała Becky. – Spadam. I do miasta! Mam już dosyć tych gór. – Omiotła Jake'a zdziwionym spojrzeniem, po czym zniknęła za drzwiami.

Zostali we dwoje.

– Hm, dziękuję – wykrztusiła.

Wyglądał tak jak poprzedniego wieczoru: sprane dzinsy, biała koszulka polo, wysokie buty. Jak miejscowy, co nie pasowało do jego amerykańskiego akcentu.

– Nie ma za co. Wczoraj nie miałem pojęcia, że jesteś weterynarzem.

– A ja nie wiedziałam, że jesteście koleżeństwem po fachu.

– Bo nie jesteście.

– Intubowanie koali to tylko hobby technika telewizyjnego?

– Jestem anestezjologiem – wyjaśnił. – Jake Hunter.

– Anestezjolog w Combadeen? Nie żartuj.

– Nie żartuję. Zatrzymałem się w Manwillinbah Lodge.

– U Roba Winstona? – Co on wczoraj mówił? „Jestem właścicielem działek w dolinie i w górach”. A Rob? To ten, który tak bezczelnie ją wczoraj podrywał. – Czy ten Rob był dziewiątą randką?

– Tak, to był Rob.

– Bardzo miły. I zabawny.

– Chcesz powiedzieć, że ja taki nie byłem.

– Wcale tego nie powiedziałam. Szkoda, że nie wiedziałam, że to on. Nie przedstawił się. Muszę mu podziękować nie tylko za to, że wynajął nam ten dom. Moja znajoma zamieszkała w Manwillinbah Lodge po wyjściu ze

szpitala. Krótco tam była, bo wymagała dalszego leczenia. Opowiadała mi, jak bardzo się starał umilić jej pobyt. Tutaj wszyscy tego bardzo potrzebują. – Ściągnęła brwi. – To znaczy, że ta farma... należy do ciebie?

– Tak.

– Ojej...

Uff. Wczoraj zerwała randkę ze swoim dobroczyńcą. Facetem, dzięki któremu mógł powstać ten szpital.

– Oddałeś nam te pomieszczenia nieodpłatnie, a ja nie wiedziałam, że to ty – jęknęła, za to on się uśmiechnął.

– Świetny temat do rozmowy. Gdybyśmy wiedzieli o tym wczoraj, przegadalibyśmy całe pięć minut.

Uśmiechnęła się zażenowana. Jak to naprawić?

Powinna uścisnąć mu dłoń. Nie, może nie. Spojrzała na swoje gumowe rękawiczki. Nie należy się spieszyć z okazywaniem wdzięczności. Co gorsza, czuła, że brakuje jej tchu.

– Przepraszam – bąknęła – muszę się umyć. Wybiegła, zostawiając go sam na sam z Koalą Numer

Trzydzieści Siedem.

Pożar zniszczył niemal połowę zabudowań w górach, zginęło wielu ludzi. Pokazywały to wszystkie telewizje na świecie. Przerażony rozmiarem zniszczeń Jake skontaktował się z Robem, pytając, jak może pomóc.

– Manwillinbah Lodge i wytwórnia win nie ucierpiały – uspokajał go Rob. – Ogień zawrócił jakieś piętnaście kilometrów od nas. Chmura dymu przykryła winnice, ale nic więcej się nie stało. Zwrócono się do mnie z pytaniem, czy mógłbym udzielić schronienia pogorzelncom, oczywiście za twoją zgodą. A dom w górach... Schronisko dla zwierząt poszukuje siedziby. Wiatr się odwrócił i pożar nie dotarł do twoich zabudowań. Pastwiska też są

nienaruszone, jednak twoi podnajemcy wyprowadzają się do matki. Czy wobec tego schronisko dla zwierząt może się tam wprowadzić, powiedzmy na pół roku?

– Jasne – odparł.

Więc teraz jest to szpital.

Ale rozglądając się, pomyślał, że nie miałby nic przeciwko temu, by ten dom znowu stał się pięknym domem rodzinnym. I żeby znowu otaczał go busz. Ogień strawił wszystko dookoła, zmieniając kierunek ledwie czterdzieści metrów od zabudowań. Za tą linią sterczały tylko poczerniałe kikuty drzew. Wprawdzie spod warstwy popiołu już wypelzała zieleń, ale sześć miesięcy wcześniej musiało to wyglądać przerażająco.

Patrzył przez okno, gdy wróciła Tori, niosąc wiadro pełne parujących mydlin. Ona chyba nie potrafi spokojnie usiedzieć ani minuty, pomyślał. Zawsze znajdzie sobie jakieś zajęcie. Do bólu poukładana. Urocza?

Tak, pełna uroku. W podartych dżinsach, rozciągniętej koszulce i białym fartuchu z naderwaną kieszenią.

Wyszła z sali wyraźnie spięta, a wróciła pogodna, jakby napełniając wiadro, wszystko sobie przemyślała.

– Już wiem, dlaczego tu przyjechałeś – powiedziała. – Jesteś synem Starego Doktora. Uwielbiałam go. – Zawahała się. – I chcesz sprzedać tę farmę. Nie ma sprawy, ale najpierw muszę ci podziękować. – Odstawiła wiadro, by uścisnąć mu dłonie. I tym razem uścisk był tak samo mocny jak poprzednio. Jak mógł myśleć, że ma do czynienia z prowincjonalną myszą? – Brak mi słów, żeby wyrazić, jak bardzo jestem ci wdzięczna. Wiem od Barb, że nie chciałeś żadnej zapłaty. To nas uratowało. – Zerknęła w stronę klatki koali. – Teraz to sprzedasz. Dobrze się składa, bo my już nie potrzebujemy lokalu. Jak tylko ją wypuszczę...

– To ostatni pacjent?

– Tak, wypuszczamy je jak najszybciej. Dzikie zwierzęta bardzo się stresują w niewoli. Mieliśmy kilka, które nie dałyby sobie rady na wolności, ale już przekazaliśmy je do większych schronisk, gdzie mają warunki zbliżone do naturalnych. Tak, została tu tylko ona. I ja.

Ściągnął brwi.

– Mieszkasz tu?

– Tak. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

– Dyżurujesz przez całą dobę?

– Moi pacjenci nie mają telefonów. To nie takie trudne. – Otworzyła drzwi na werandę.

Nieopodal drzwi na wytartej kanapie leżał mały piesek, biało-brązowy mieszaniec teriera. Jake mijał go, wchodząc, ale pies nie zareagował. Za stary, żeby szczekać? Teraz popatrzył na nich, machnął ogonem, po czym wrócił do swojego poprzedniego zajęcia.

To nie było spanie, zorientował się Jake. Kundelek wpatrywał się w dolinę, jakby na kogoś czekał.

Tori pogładziła go po łebku, a on trącił nosem jej dłoń, po czym znowu zapatrzył się w dal. Czeka, żeby zabrano go do domu?

– Domyślam się, że z radością wrócisz do siebie – odezwał się Jake, ale widząc smutek w jej oczach, pożałował tych słów. Kretyn. Skoro tu mieszka, to znaczy, że jej dom spłonął.

– Chyba tak – powiedziała powoli. – Oczywiście, że tak. Pora zacząć od nowa.

– I dlatego wzięłaś udział w szybkiej randce? Na początek?

– Na tę randkę naciągnęła mnie koleżanka. Zdaje się, że i ciebie ktoś na to naciągnął. Kiedy mam się wyprowadzić?

– Ja wcale nie...

– To już niedługo. Posprzątam, zanim wystawisz dom na sprzedaż. Mam cię po nim oprowadzić? – Spojrzała na zegarek. – Za pięć minut mam telekonferencję z miejscowymi schroniskami, ale sam też możesz się rozejrzeć.

– Wolałbym, żebyś mnie oprowadziła. Dlaczego to powiedział? Po co mu przewodniczka? Zafascynowała go. Było coś w uścisku jej dłoni: energia, stanowczość... ale i jakaś wrażliwość, coś nieokreślonego. Nie sprawiała wrażenia słabej, panowała nad sytuacją.

– Mogę cię oprowadzić, ale dopiero pod koniec dnia, a jeszcze lepiej jutro.

– Na przykład rano o dziewiątej?

– W porządku. Kiedy wracasz do Stanów?

– W poniedziałek. – Za sześć dni.

Sześć dni wystarczy. Jeśli zatrzyma Manwillinbah Lodge, pozostanie mu zająć się jedynie farmą. Jutro Tori mu wszystko pokaże. Te džinsy... Jeszcze nigdy nie widział džinsów leżących tak dobrze na kobiecie.

– Muszę już iść, bo zaczyna się telekonferencja. – Zabrzmiało to tak szorstko, że oprzytomniał. Co mu strzeliło do głowy? Ta kobieta, ta mysz z prowincji, mieszka na drugiej półkuli! Gdyby nie zerwała randki...

O co chodzi? O urażoną miłość własną?

– Bardzo ci dziękuję za uratowanie koali.

– Jak ona się wabi?

– Nie daję im imion. Żeby się nie przywiązywać.

– Unikasz tego?

– Staram się. Przepraszam, muszę iść...

Skłonił się lekko, ale ona już była za drzwiami. Szybka ta doktor Nicholls, pomyślał. On też nie lubi marnować czasu, a mimo to poczuł się urażony. Nie tak reaguje na niego większość kobiet.

Co sobie wyobrażał?! Nic. Zawrócił do swojego wynajętego samochodu. Jeśli uważa, że obszarpana pani weterynarz z prowincji jest śliczna, to czym prędzej powinien wracać do Stanów.

Nie zdawał sobie sprawy, że obszarpana pani weterynarz z prowincji patrzyła, jak jego auto zniknęło jej z oczu.

Jesteś beznadziejna. Wściekła na siebie poprawiła firankę w oknie. Zobaczyła przystojnego mężczyznę i od razu... straciła głowę. Idiotyzm. Czego jak czego, ale kolejnego faceta ci nie potrzeba.

Więc dlaczego uległa namowom Barb, żeby wziąć udział w kilkuminutowych randkach?

Bo, gdy wyjechali wolontariusze, poczuła się samotna i zaczęła rozmawiać sama z sobą.

Tato. Micki. Nie myśl o tym. Nawet nie było już zwierząt, do których mogłaby się odezwać. Wróciła do głównej sali, żeby zajrzeć do koali. Miś był ledwie przytomny. I taki mały. I pokiereszowany.

Może niepotrzebnie tak się starała?

– Żyj – szepnęła. – Musisz wyzdrowieć... Zacząć nowe życie.

Zdawała sobie sprawę, że i ją to czeka.

Spojrzała w okno i, jak zwykle, mocno zacisnęła powieki. Z domu, w którym kiedyś mieszkała, ostał się jedynie komin. Tato. Siostra.

– Wyjedź – szepnęła. – Kup sobie domek w mieście. Możesz zajmować się małymi zwierzętami. Leczyć alergie, piąte pazury, szczepić...

Może i tak zrobi, ale... ale jeszcze do tego nie dojrzała.

Za dwa tygodnie będzie można wypuścić koalę na wolność, a na farmie zamieszka ktoś inny. To już nie będzie jej dom. Koczowała tu wystarczająco długo. Teraz pora wziąć się z losem za bary.

Czuła, że potrafi. Nauczyła się niezależności.

Więc dlaczego tak ją poruszył widok odchodzącego Jake'a Huntera?

– Opowiedz mi o Tori – Jake zwrócił się do Roba. Było już ciemno.

Aktualnie w Manwillinbah Lodge

przebywały tylko dwie osoby, ale obydwie już udały się na spoczynek. Rob zorganizował wieczorek filmowy. W programie była „Casablanca”. Przygotował kolację w stylu epoki, porozwieszał czarno–białe afisze, nawet włożył charakterystyczny kapelusz. Niestety, obie panie były zbyt zmęczone i marzyły tylko o swoim łóżku.

One też były ofiarami pożaru. Na czas remontu swojego domu zamieszkały w pensjonacie.

Rob siedział niezadowolony. Uwielbiał przyjmować gości, ale o ósmej mógł zabawić tylko siebie oraz swojego pracodawcę. Siedzieli na werandzie, patrzyli na gwiazdy i popijali piwo.

– Opowiedz mi o Tori. – Jake nie dawał za wygraną.

– Nie znam jej.

– Ale Barb ci o niej opowiadała.

– Nie. Każdego spotkała tutaj jakaś tragedia i jeżeli sam ci nie opowie, nie wolno o to pytać. Jedni chcą o tym mówić, inni nie potrafią. Wiem tylko tyle, że została szefową akcji mającej na celu ratowanie dzikich zwierząt i że już przed pożarem była weterynarzem w górach. Nie wiedziałem, że tam mieszka, ale powiedziałem im, że mogą tam robić, co chcą. Informowałem cię o tym.

To prawda. Informacje napływające wtedy z Australii były przerażające, więc Jake był gotów przystać na wszystko. Jego nastawienie nie uległo zmianie.

– Nie chcę jej wyrzucić – powiedział zmieszany. – Jak chce dalej tam mieszkać...

– Nie chce. Wiem od Barb, że jak wypuści ostatniego zwierzaka, wyniesie się. Można farmę bez problemu wystawić na sprzedaż.

– Ma dokąd się przeprowadzić?

– Nie wiem. – Rob rzucił mu zaciekawione spojrzenie. – Wczoraj widziałem ją pierwszy raz w życiu, ale pięć minut rozmowy to za mało, żeby kogoś poznać. Twoja randka była gorsza. Ile wymieniliście pytań przez półtorej minuty?

– Odwal się – warknął Jake. – Szybkie randki to nie moja specjalność.

– Chyba randki w ogóle. – Rob dolał sobie piwa. – Ale dzisiaj miałeś okazję z nią pogadać. Jaka ona jest?

– Inteligentna, zmęczona, zatroskana. – I pociągająca, ale tego nie powiedział głośno. Bardzo seksowna mimo koszmarnych ciuchów.

– Tutaj wszyscy są inteligentni, zmęczeni i zatroskani – zachnął się Rob. – Wróćmy do „inteligentnej”.

– Jest weterynarzem.

– Co jeszcze?

– I była na tyle odważna, żeby wyjść, kiedy ja...

– Lepiej nie mów, co ty – zgasił go Rob. – Punkt dla Tori.

– Dzisiaj praktycznie też mnie spławiła.

– Nie żartuj. Farma należy do ciebie.

– Ale ona ma prawo tam przebywać. Nie, nie była nieuprzejma, tylko zasadnicza. Może nie lubi facetów.

– Gdyby nie lubiła, toby wczoraj nie przyszła na randki. Jesteś zainteresowany?

– Nie, nie jestem. Ale się przejąłem. Co się stało z innymi, którzy stracili domy?

– Są u krewnych, u przyjaciół... W dolinie postawiono dla pogorzalców całe kontenerowe miasteczko. Mijałeś je, jadąc z lotniska.

– Tori tam się przeniesie?

– Ją o to pytaj.

– Nie moja sprawa.

– To dlaczego pytasz?

Nie umiał odpowiedzieć. Siedzieli w milczeniu, aż w końcu Rob poszedł spać, zostawiając Jake'a sam na sam z butelką piwa.

Zapatrzony w niebo napawał się absolutną ciszą. Nagle nieopodal coś zaszeleściło. Na skraju ogrodu dostrzegł kangura, który czujnie mu się przyglądał.

– Cześć – powiedział, ale kangur czmychnął w zarośla. Jake znowu został sam. Powinien iść do domu, ale nie

mógł oderwać oczu od wygwieżdzonego nieba. Gdzieś wyżej, w górach, pod tym samym niebem jest Tori.

Co ona go obchodzi? Nic. Więc dlaczego jakiś uporczywy głos przekonuje go, że to nieprawda?

ROZDZIAŁ TRZECI

Zaparkował na farmie o dziewiątej, ale nikt nie odpowiadał na pukanie.

Pukał trzy razy. Samochód dostawczy stał w tym samym miejscu co poprzedniego dnia, ale z domu nie dobiegały żadne odgłosy. Wszedł do środka.

– Tori! To ja, Jake!

Bez odpowiedzi.

Zajrzał do „szpitala”. Już od progu się zorientował, że miś koala nie żyje. Leżał na boku, bez ruchu, a drzwi do jego klatki były otwarte.

Dotknął miękkiej sierści. Tak, nie żyje. Po prostu odszedł. Pacjenci czasami też mu to robili: po prostu umierali. Operacja się udała, ale zamach na ich organizm był tak wielki, że ich serca po prostu przestawały pracować.

Nienawidził takich sytuacji.

Przyklękawszy, po raz pierwszy zobaczył z bliska blizny świadczące o tym, ile to małe zwierzątko wycierpiało oraz pojął, jak trudna musiała być dla Tori decyzja o wykonaniu kolejnego zabiegu. Gdzie ona jest?

Spojrząwszy w okno, zobaczył ją na skraju buszu. Domyślił się, co tam robi.

Mało łez wylała? Nie wolno jej przywiązywać się do pacjentów, bo to prowadzi do obłądu.

Łzy ciekły jej ciurkiem tak, że nie widziała, gdzie wbija łopatę. To pierwsze zwierzę, które postanowiła pochować. Do tej pory miała ochotników, którzy ofiary jej porażek zabierali jej z oczu.

To już koniec. Ostatnia porażka. Gdyby wiedziała, że tak się to skończy, uśpiłaby koalę już pół roku temu.

Tyle strat. Tato, Micki, nienarodzone maleństwo...

Ten mały miś koala w pewnym sensie stał się symbolem ich wszystkich.

– Mam tego dosyć – wyszeptała, wbijając łopata w ziemię. Łopata odbiła. Korzeń?

Zakłęła i spróbowała jeszcze raz. Z taką siłą, że leżący dwa metry dalej piesek zadrżał.

To nie ma sensu, pomyślała, ale za nic w świecie nie chciała zwozić koali do krematorium dla zwierząt. Nie i już.

Miała przed oczami cmentarz w Combadeen i dwa nagrobki. Taty oraz Micki. Ten drugi z dodatkową malutką tabliczką. Nie.

Zamachnęła się po raz kolejny. Znowu bez rezultatu, gdy nagle ktoś wyjął jej łopata z rąk. Nie wiedziała, skąd przyszedł. Nic nie wiedziała, tylko tyle że łopata upadła na ziemię, a ktoś ją objął i pozwolił szlochać.

Jeszcze nigdy nie trzymał kobiety w ramionach w takiej sytuacji. I nigdy nie czuł tak silnych emocji.

Był anestezjologiem w szpitalu klinicznym na Manhattanie i dawno temu miał kontakt z pacjentami. Teraz rozmawiał z nimi ktoś inny.

Jeśli w trakcie operacji wystąpiły komplikacje, to z rodziną rozmawiał chirurg. Jake jako anestezjolog nic nie ryzykował. Wykonywał swoją pracę i był w tym dobry.

Teraz, w obliczu rozpaczony Tori, zdał sobie sprawę, że świadomie tego unikał.

Matka wypłakiwała się mu przez całe życie, więc miał tego dosyć.

To tylko koala. Powiódł wzrokiem po osmalonych kikutach drzew. Matka płakała, żeby płakać, ale czuł instynktownie, że łzy Tori są inne.

– Przepraszam – wykrztusiła. – To idiotyczne. Ten zabieg był ryzykowny. Należało ją uśpić. Powinam była...

– Wtedy nie mogłaś tego wiedzieć – powiedział cicho. – Zrobiłaś, co było w twojej mocy.

– Tyle się nacierpiała...

– Tori, nie przysporzyłaś jej cierpienia. Musiałaś dać jej szansę.

– Ale czy ja ją operowałam dla siebie? – jęknęła. Uwolniła się z jego objęć, żeby otrzeć łzy. – Kretynka, dałam jej imię!

– Mówiłaś, że nie nadajesz im imion.

– Wszystkim tak mówiłam. Wolontariuszom, pielęgniarce, kierowcom, strażakom. Tłumaczyłam im, że nie wolno nam się do nich przywiązywać, bo oszalejemy. Mamy dla każdego zwierzęcia robić wszystko, co się da, zachowując dystans.

Tori na pewno nie była obojętna. Wyglądała, jakby przed chwilą wyszła ze spalonego buszu, umorusana i zrozpaczona jak ofiara pożaru.

Zorientował się, że cierpi razem z nią. Chciał jeszcze raz ją przytulić, ale splotła ramiona na piersiach w obronnym geście. Żeby powstrzymać falę bezgranicznej rozpaczki? To coś więcej niż śmierć jednego zwierzęcia, pomyślał, bo taki poziom bólu wydał mu się niepojęty.

"Myśl o sobie", przypomniały mu się słowa matki. "Nie angażuj się, bo to zawsze kończy się cierpieniem".

Dobra rada? Do tej pory tak mu się wydawało, ale teraz postanowił puścić ją w niepamięć.

– Jakie nadałaś jej imię? – zapytał.

Spojrzała na niego ponuro.

– Manya.

Dlaczego tak na niego patrzy? Boi się, że ją wyśmieje?

– Dlaczego akurat Manya? Czy to coś znaczy?

– Maleństwo. W języku tutejszego plemienia. Zapomnij o tym. Przemawiałam do niej, więc musiałam ją jakoś nazwać. Musiałam z nią rozmawiać.

– Jasne. Wiesz, dlaczego padła?

– Nie. – Spoglądała na swoje brudne ręce. – A może wiem. Od pół roku była w stresie. Wiedziała, że nie może wrócić do buszu, ale są zamknięte rezerwy, gdzie byłoby jej dobrze. Była tak blisko, ale jeden mały ropień... O siódmej była w niezłym stanie, a o ósmej już było po wszystkim.

– To się zdarza. Także ludziom.

– Miałeś takich pacjentów? – Starła się mówić opanowanym głosem. Piesek podszedł do niej i trącił ją nosem. Wzięła go na ręce, ale trzymała go jak tarczę. Polizał ją po twarzy, a ona przytuliła go mocniej.

Jake zauważył, że pies nie ma tylnej nogi. Zatem nie jest to stary pies, lecz pies po przejściach. Tak jak Tori. „Miałeś takich pacjentów?”

– Tak, niewielu. Chyba mam szczęście.

– W przeciwieństwie do mnie – stwierdziła ponuro. –Przez ostatnie pół roku wielu nie udało mi się uratować.

Jest skrajnie wyczerpana, pomyślał.

– Twoi pacjenci to żyjące na wolności zwierzęta – zaczął ostrożnie, wyczuwając, że powinna o tym mówić, ale z drugiej strony obawiał się, że lada moment Tori zamknie się w sobie. – Moi to dziani nowojorczy. W prywatnej klinice nie mają się czym stresować, To istotna różnica. – Zawahał się. – Tori, daj mi kopać.

– Poradzę sobie. – Postawiła pieska na ziemi i sięgnęła po łopatę.

– Na pewno?

Zamknęła na moment oczy.

– Nie. Nie dam rady. Tu są same korzenie. Zwiozę ją na dół do krematorium.

– Ale tego nie chcesz.

– Tylko dlatego że dałam jej imię – wyszeptała. Piesek, zaniepokojony, trącał nosem jej but. – Chciałam ją pochować tutaj, gdzie ocalał kawałek buszu, pod żyjącymi drzewami. Nie uważasz, że to ma sens?

– Zdecydowanie.

Bez słowa wyjął jej z rąk łopatę i zaczął kopać. Ziemia była rzeczywiście tak twarda, że chyba większy sens miała kremacja, ale Jake czuł, że taki pogrzeb małej koali jest dla Tori niezmiernie ważny. W końcu przebił się przez warstwę korzeni i gliny. W pewnej chwili Tori uknęła, przygarniając do siebie pieska.

– Jak on się wabi? – zapytał Jake, udając, że kopanie idzie mu z łatwością.

– Rusty.

– Jak stracił nogę?

– W pożarze.

Ze zdziwieniem zauważył, że pies wprawdzie nie ma tylnej łapy, ale też nie ma żadnych innych blizn.

– Był poparzony?

– Tutaj wszystko płonęło. – Pochyliła się nad pieskiem, za co znowu została polizana. – Rusty w pewnym sensie miał sporo szczęścia. Znalazłam go w kominku tam... gdzie mieszkałam. Tam. – Wskazała na sąsiadujące ruiny.

– Spadły na niego cegły, przygniatając mu tylną łapę. Poza tym nic mu się nie stało. Należał do mojego taty. I ciągle czeka, aż tata wróci.

Głos jej się załamał. Koniec pytań.

Jake skupił się na kopaniu. Zmagał się z twardą ziemią dziesięć minut, piętnaście. Nie spieszyło mu się. Dawał w ten sposób czas Tori na zastanowienie się, czy chce powiedzieć więcej. Czego ta kobieta doświadczyła? Nie powinien pytać, ale w końcu się przełamał.

– Kogo straciłaś?

Długo czekał na odpowiedź, wręcz przestał na to liczyć.

– Ojca i siostrę... Siostra była w ósmym miesiącu.

Boże, pomyślał bezradnie.

– Mieszkaliście tu?

– Tak. Micki... Margaret rozpadło się małżeństwo, więc zamieszkała u nas, żeby tu urodzić. Toby i ja mieliśmy jej pomagać w pierwszych tygodniach po porodzie.

– Odetchnęła głębiej. – Ale wszyscy zginęli. Tato, Micki i Benedict, jej nienarodzony synek. Rusty'ego znalazłam trzy dni później. Nic nie zostało, nic...

Jak jej pomóc? Chyba tylko nie przerywając kopania i rozmawiając z nią.

– A... Toby?

– Byliśmy zaręczeni.

– Ale nie zginął?

– Jak myślisz? – Roześmiała się gorzko, chowając twarz w sierści pieska. Ten śmiech ostrzegł go, że jest bliska hysterii.

Grób koali był już wystarczająco głęboki, ale on czuł, że jeśli przestanie kopać, Tori przestanie mówić. Na pewno wróci do normalnego życia, ale być może rozmawianie o nieżyjących jej w tym pomoże?

– Przepraszam. – Pociągnęła nosem. – Pomyślałeś, że zginął. Toby potrafił każdego oczarować, a jednocześnie dbał o własną skórę. Był

fantastycznym facetem, fotografem. Zeszłej jesieni przyjechał fotografować góry i mój gabinet dla zwierząt, i tu został. – Zawahała się, ale dalej mówiła bardziej opanowanym głosem. – Lecznicę założył mój ojciec, kiedy Micki i ja byliśmy małe. Mama wcześniej nas osierociła. Potem Micki wyszła za weterynarza i przeprowadziła się do innego stanu, a ja studiowałam weterynarię. Jakiś czas później u taty zdiagnozowano stwardnienie rozsiane. Ostatnie dwa lata były bardzo trudne.

Ale zjawił się Toby, który potrafił nas rozbawić. Dzięki niemu nasz dom ożył. Kiedy mi się oświadczył, to nie wiem, kto był bardziej szczęśliwy, ja czy tato. Toby nie miał grosza przy duszy, więc było oczywiste, że zamieszka u nas. Wierzyliśmy, że będzie sprzedawał zdjęcia, ja będę pracować w klinice i będziemy żyli długo i szczęśliwie.

Jake wybrał kilka kolejnych łopat ziemi. Dołek był już całkiem głęboki, a końca jej historii nie było widać.

– Ale...

– W Boże Narodzenie przyjechała Micki, bo jej małżeństwo się rozpadło. Źle znosiła ciężę, ale i ona uległa czarowi Toby'ego. Może nawet nie było mi z Tobym najlepiej, ale Micki i tato go uwielbiali.

– I wtedy wybuchł pożar.

– I przyszły upały. Micki miała tak wielki brzuch, że ledwie się ruszała, a u taty nastąpiło pogorszenie. Też ledwie się ruszał. Tego dnia... żar lał się z nieba. Busz się nie palił, ale wszyscy byli podenerwowani. Pielęgniarka taty zadzwoniła, że nie przyjedzie, bo się boi, że jej auto się zagotuje. Tato potrzebował leków, więc zjechałam w dolinę przekonana, że za godzinę wrócę. Toby został z nimi, mieli drugi samochód. Nic złego nikomu nie mogło się stać. I wtedy wybuchł pożar.

– Przestań... nie musisz – powiedział, słysząc w jej głosie rozpacz. Odłożył łopatę i podszedł do niej, ale go powstrzymała.

– Daj mi skończyć. Tobi usłyszał przez radio, że po drugiej stronie gór wybuchł pożar, więc wsiadł do pickupa i pojechał. Zrobił niesamowite zdjęcia. Pewnie je widziałeś, bo następnego dnia obiegiły cały świat po tym, jak wiatr zmienił kierunek i zginęło ponad sto osób. Tato, Micki, Benedict i wszystkie zwierzęta w szpitalu zostali bez samochodu. Nie mogli uciec. Zginęły też nasze trzy wielkie psy; Mutsy, Pogo i Bandit. Uratował się tylko ten mały piesek. – Ukryła twarz w dłoniach. – Wystarczy. Tobi zbił majątek, ja wszystko straciłam. Przysięgałam Micki, że u nas będzie bezpieczna, ale stało się inaczej. Zawiodłam ją, i nie tylko ją. Zaufałam Tobi'emu, zjechałam do doliny. Głupio tak się mazać... Pochowamy Manię, a potem Rusty i ja stąd pójdziemy.

– Dokąd?

– Nie wiem – wyszeptwała. – Wiem tylko tyle, że moje miejsce jest tutaj. Dostyc tego kopania. Ja zrobię resztę.

– Nic nie będziesz robić – mruknął. – Dzisiaj ja jestem grabarzem.

Pomógł jej zbierać zielone gałązki eukaliptusa i wyniósł misia z domu. Ułożyli Manię na posłaniu z liści, przykryli drugą ich warstwą, po czym zasypali dół ziemią. Jake wyprostował się. Stał bez słowa, nie wiedząc, co dalej, nie wiedząc, jak Tori pomóc.

Miał ochotę ją przytulić, ale stała w bezpiecznej odległości, jakby zawstydzona wcześniejszym wyznaniem.

– Dziękuję – powiedziała cicho. –Bardzo ci dziękuję. Ja... Kiedy mam opuścić twój dom?

– Najpierw mnie po nim oprowadź – powiedział, podając jej dłoń, ale się odsunęła. Znowu ten dystans.

– Dobrze. – Ruszyła w stronę domu, za nią pokuśtykał Rusty.

Widział te pomieszczenia po raz pierwszy. Dom został wynajęty jeszcze przed śmiercią ojca. Zajął się tym pośrednik, więc nie było potrzeby ani okazji go oglądać.

Na samym końcu Tori pokazała mu największą sypialnię. Stojąc w drzwiach, zobaczył, jak mieszkała przez ostatnie pół roku. Ogarnęło go przerażenie.

W jednym rogu polowe łóżko, kilka kartonów, w drugim koszyk Rusty'ego. Nic więcej.

Gdy przyszła na szybką randkę, uznał ją za abnegatkę, a to cud, że wyglądała tak przyzwoicie.

– Nie masz lustra? – Wysilił się na żart.

– Nie mam. – Jej głos brzmiał już dużo pewniej. – Podejrzewam, że bym się przestraszyła.

– Mnie się podobasz.

– I to mówi facet, który podczas randki patrzył na mnie jak na ropuchę.

– Wcale tego nie powiedziałem.

– Nie musiałeś. Już się napatrzyłeś?

– Tak, wystarczy. To cały twój dobytek?

– Mam skromne potrzeby. Mogę się wyprowadzić w pół godziny.

– Gdzie będziesz dzisiaj nocować?

– Chcesz mnie dzisiaj wyrzucić? – Zaniepokoiła się.

– W ogóle nie zamierzam cię wyrzucać. Pytam tylko, czy masz alternatywę, jakieś miejsce mniej ponure niż to.

– Tu jest dobrze.

– Tu nie jest dobrze. Tu trzeba armii robotników, żeby doprowadzić ten dom do używalności.

– To piękny dom.

– To może być piękny dom. Masz dokąd pójść?

– Oczywiście.

Nie uwierzył jej. Targały nim mieszane uczucia: z jednej strony nie chciał się angażować, bo to nie w jego stylu, z drugiej, gdyby ją tu zostawił...

Okazałby się takim samym draniem jak Toby, zostawiając ją sam na sam z rozpaczą.

– Zapraszam do Manwillinbah Lodge – wyrwało mu się. – Wiesz gdzie to jest?

– Tak, ale...

– Ale co?

– Nie mogę.

– Dlaczego?

– Bo należy do ciebie.

– To jest pensjonat. Stoi prawie pusty. Składam ci propozycję i oczekuję, że będziesz na tyle rozsądna, że ją przyjmiesz. – Rozłożył ręce. – Tori, masz do wyboru zostać w tym ponurym miejscu i, jak podejrzewam, opłakiwać małą koalę, albo zjechać w dolinę i pozwolić, żeby Rob cię podejmował, dopóki nie znajdziesz sobie miejsca. – Zawahał się. – Wyświadczysz Robowi przysługę. Rob lubi mieć komplet gości i kocha towarzystwo. Ale od pożaru wszyscy jego goście spoglądają w niebo i nie chcą mówić.

– Chyba też nie chcę mówić.

– Wiem, ale nasza gosposia mogłaby dla ciebie gotować, a Rob sprawić, że byś się uśmiechała. Rob lubi ludzi.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– Mówisz, jakbyś ich nie lubił.

- Nie jestem towarzyski.
- Dałeś mi się dziś wypłakać.
- Czasami zmusza mnie do tego sytuacja.
- Mam wrażenie, że masz już dosyć. Jak podczas naszej randki.
- Nie to miałem na myśli. – Kurczę, musi nauczyć się dobierać słowa.

Ale Tori się uśmiechnęła. Blando, ale był to prawdziwy uśmiech.

– Zgoda, nie jesteś towarzyski, ale wypadłeś bardzo dobrze. Byłam ci wdzięczna za możliwość wyżalenia się na twoim ramieniu. Zniosłeś to po męsku. Chciałeś dać nogę czy nie, pozostaje faktem, że nie zwiałeś. – Odwróciła się, by popatrzeć na składane łóżko, na pozostałości biwaku w tym osmalonym domu. Widział jej wahanie.

– Wcale nie chcesz tu zostać.

– Mam psa. – Rusty znowu siedział na werandzie wpatrzony w szosę. Ciągle czekał.

– Zabierz go. I mieszkajcie w pensjonacie, dopóki nie zdecydujesz, co dalej.

– Zaproponowano mi pracę. – Nie odrywała wzroku od łóżka. – W małej klinice u podnóża gór.

– Weźmiesz ją?

– Nie wiem.

– Kiedy po raz ostatni przespałaś całą noc?

– Tego też nie wiem – przyznała, a on wziął ją za rękę.

– Tori, nie jesteś w stanie podjąć żadnej decyzji. Zamieszkać w pensjonacie i pozwól, żeby Rob się tobą opiekował przez miesiąc albo dłużej.

– Przez miesiąc? Nie.

– Okej. Tylko na tę noc, a potem się zobaczy. Musisz się wyspać i zacząć myśleć o czymś innym niż zniszczenia.

- To samo powiedziała Barb, jak mnie namawiała na randki – szepnęła.
- Wiem, muszę się pozbierać, ale mi nie wychodzi.
- Być może randki nie są dla nas najszcześniejszym sposobem – zauważył. – Spróbujmy inaczej.
- Ty też musisz zaczynać od nowa?
- Nie. Miałem na myśli ciebie.
- Przeniosła na niego wzrok, po czym lekko się uśmiechnęła.
- Naprawdę? Tylko mnie dręczą upiory przeszłości? To dlaczego mam wrażenie, że jesteś tak samo spięty jak ja?
- Nie jestem spięty.
- Okej. – Cofnęła ręce. – Ty też zatrzymałeś się w Manwillinbah Lodge?
- Do poniedziałku.
- Zniesiesz moje towarzystwo?
- Oczywiście.
- To nie jest takie pewne. O ile dobrze pamiętam, było to półtorej minuty.
- To ty wyszłaś.
- Prawda. – Tym razem uśmiechnęła się szeroko. –I mogę to powtórzyć, jeśli życie stanie się zbyt skomplikowane. Ale teraz... Czy w Manwillinbah Lodge są łazienki?
- Spa w każdym pokoju.
- Spa?
- Oraz podgrzewany basen. A do tego łóżka z niewyobrażalną liczbą poduszek. Wnętrza urządziła jedna z postrzelonych blondynek Roba.
- Postrzelona blondynka?
- Dla Roba postrzelona to to samo co seksowna.
- A dla ciebie nie?

– Hm... no nie.

– Nie mam więcej pytań. – Uśmiechała się. – Nie wiem, jaka kobieta podczas szybkiej randki potrafiłaby zatrzymać cię dłużej niż na pięć minut, ale teraz muszę tu posprzątać. Jeśli Rob zgadza się przyjąć mnie i Rusty'ego...

– Oczywiście, że się zgodzi. To ja jestem właścicielem.

– A on zarządcą. Zadzwońię do niego, żeby się upewnić – powiedziała z nutą wyrzutu. – I płacę za pobyt. Załatwmy to oficjalnie.

– Za nic nie będziesz płacić.

– Płacę albo tam nie jadę. Nie patrz tak na mnie. Przez pół roku nie wydałam ani grosza i już mam dosyć dobroczynnych gestów. Wiem, jestem niewdzięczna, ale taka jestem. Skontaktuję się z Robem, zamknę ten dom i po południu zjadę na dół.

Chce go spławić?

– Mogę ci pomóc w sprzątaniu?

– Nie. Dziękuję, doktorze.

– Jake – mruknął. – I nie bądź uparta. Pomogę ci.

– Jake – powtórzyła. – Uparta czy nie uparta, chcę to robić sama.

Nagle przejrzał jej zamysł. Powinien to zrozumieć.

To miejsce jest pełne wspomnień, z którymi Tori musi się pożegnać na swoich warunkach. Pewnie znowu będzie płakała. Serce mu pękało na tę myśl, ale czuł, że ona tego potrzebuje, a na pewno ma do tego prawo.

Jak mógł o niej pomyśleć, że jest nieciekawa? Spoglądając na jej smutną twarz, po raz kolejny poczuł chęć ją objąć, a po chwili namysłu... poczuł, że mógłby ją nawet pocałować. Tym razem nie kierowało nim współczucie. Taka kobieta...

Nie pocałuje jej. Uciekłyby gdzie pieprz rośnie. Głupi pomysł. Bo on nie całuje takich umorusanych, zapłakanych kobiet. Do tej pory romansował z

kobietami, które znały zasady tej gry, niezależnymi, zainteresowanymi miłośkami, które do nikąd nie prowadzą.

Czy Tori zrozumiałaby takie zasady? Nie. Więc nie będzie ryzykował.

– Widzimy się w pensjonacie – powiedział niepotrzebnie ostrym tonem.

– Przed kolacją?

– Do zobaczenia. – Nie podniosła głowy znad kartonu, który akurat pakowała. – Jake, jeszcze raz ci dziękuję.

I tyle. Wyszedł, zostawiając ją, by spakowała darowane ubrania do darowanych kartonów. Żeby spakowała swoje dotychczasowe życie... i zaczęła nowe.

Wszędzie panował potworny bałagan. Rozglądając się po domu, poczuła, że nie może go opuścić. Tak się nie robi.

Gdyby to nie był Jake, przyjęłaby taką propozycję. Ten człowiek zburzył jej spokój, równowagę wewnętrzną, z której wytrąciła ją śmierć misia koali, a potem jej własna reakcja na Jake'a.

Barb powtarzała jej, że musi się pozbierać. Umysł upierał się, że to niemożliwe, ale ciało podpowiadało, że to coś więcej niż kwestia czasu.

Jake jest słodki, a ona wyplakiwała się na jego ramieniu. Bardzo podniecające. Weszła do łazienki po przybory toaletowe. Wbrew temu, co mu powiedziała, było tam lustro. Przejrzała się. Koszmar.

– Dajmy sobie z tym spokój – mruknęła pod adresem sterty niepotrzebnych używanych ubrań. – Twój organizm będzie szalał na widok każdych spodni. Jesteś w potrzebie, mażesz się i jesteś żalosna. Weź się w garść i nawet nie myśl o Jake'u.

Pociągnęła nosem.

– I nie becz z tego powodu – warknęła do swojego odbicia, po czym wróciła do pokoju.

Kopnęła pierwszy z brzegu karton, który natychmiast się złożył. W tej samej chwili zadzwonił telefon.

– Doktor Nicholls?

– Tak, słucham.

– Dzwonię z firmy sprzątajacej z Combadeen. Zapłacono nam za sprzątanie domu, w którym pani mieszkała. Za wywiezienie śmieci, przekazanie różnych rzeczy organizacjom dobroczynnym, szorowanie podłóg, za wszystko, co pani sobie zażyczy.

– Zapłacono z góry?

– Jake Hunter, właściciel Manwillinbah Lodge i tego domu w górach. Powiedział, że pani się wyprowadza. Że zrobi pani tyle, ile pani zechce, a my mamy zająć się resztą. Jak będzie pani wyjeżdżać, to niech pani zostawi klucz na stole w kuchni. Przyjedziemy po południu, posprzątamy i zanikniemy dom. Ale tylko jeśli pani to odpowiada. Pan Hunter podkreślił to kilka razy. Już nam zapłacił, ale decyzja należy do pani.

Decyzja należy do niej. Jake ją rozumie. Pomaga jej, ale na jej warunkach.

Przez ostatnie pół roku to ona wszystkim kierowała, wydawała polecenia, organizowała. Jake ją wysłuchał, zrozumiał jej sytuację i zabrał się za organizowanie.

Kobieta z firmy czekała na odpowiedź. Tori powiodła wzrokiem po półrocznym bałaganie, jaki panował w domu przystosowanym do potrzeb szpitala dla zwierząt. Powinna sama to posprzątać.

Jakim prawem on się tak rządzi? Despota. Niepokoiło ją także to, że tak dobrze odczytywał jej myśli. Logika nakazywała trzymać się z daleka od Jake'a i od jego szczodrych gestów. Nic z tego. Pociągnęła nosem.

– Dziękuję. Przyjmuję tę propozycję.

Przyjedzie? – zastanawiał się. Powinien był mocniej na nią naciskać. Dlaczego to takie ważne, by skorzystała z zaproszenia? Nie znał odpowiedzi, ale czuł, że bardzo mu na tym zależy.

TTLR

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zrobiła, ile mogła, resztę pozostawiając ekipie sprzątającej. Siedziała w samochodzie z Rustym tuż obok, czując, że opuszczenie tego miejsca nie jest takie łatwe, jak się jej wydawało. Ogarnął ją głęboki smutek.

Porzucić góry...

Kilka pierwszych koszmarnych nocy po pożarze spędziła z Rustym na kanapie u Barb, a kiedy na posesji Jake'a powstał szpital dla rannych dzikich zwierząt, po prostu tam się przeprowadziła. Minęło pół roku, a ona żyła od pacjenta do pacjenta. Do teraz.

Rusty tęsknie patrzył przez szybę na drogę prowadzącą do ich spalonego domu. Dom.

Zamknęła oczy. Ciągle nie mogła się wyzbyć wściekłości na Toby'ego. O to, że wyobrażała sobie, że go kocha. Od pożaru się do niej nie odezwał. Na szczęście. Tchórz, a ona myślała, że go kocha.

Nie ufaj temu swojemu durnemu sercu, mruknęła. Pożegnaj się z górami, ale nikomu nie ufaj.

Chyba popełniła błąd, przyjmując zaproszenie do pensjonatu, ale nie mogła zostać w górach ani nachodzić Barb. W dolinie powstało osiedle dla pogorzalców. Zamieszka w kontenerze.

Ale jeszcze nie tej nocy. Musi odetchnąć.

Noc z Jakiem? Nie. Noc w luksusowym pensjonacie. Dla zregenerowania sił przed codziennością życia.

Zerknęła na psa. Siedział obojętny obok kartonu z jej dobytkiem: ubraniami na zmianę i przyborami toaletowymi, rzeczami, które musiała zdobyć, żeby przetrwać.

Przetrwa.

– Wrócimy w góry – zwróciła się do psa, który nadal wpatrywał się w zgliszcza. – Tato, Micki, Benedict, Musty, Pogo i Bandit... oni tam ciągle są. Wrócimy tu. Obiecuję ci, Rusty.

Przyjedzie. Zadzwoiła do Roba, a Jake nie mógł się pohamować, by nie podsłuchiwać.

– Ty się naprawdę o nią martwisz – zauważył Rob.

– Spotkała ją okropna tragedia.

– Jak połowę mieszkańców doliny.

– Nie znam ich – mruknął Jake. – A Tori znam.

– Od wczoraj. – Rob się zamyślił. – To co? Damy jej apartament dla nowożeńców?

– Co takiego?!

– Najlepszy – wyjaśnił Rob. – Ten, w którym chciałem ciebie ulokować.

– Tak, ale za pół ceny.

– A nie gratis?

– Jak nic od niej nie weźmiemy, to tu nie wejdzie.

– A ty chcesz, żeby tu została.

– Tak.

Rob uśmiechnął się domyślnie.

– Rozumiem – wycedził. – Mam zadzwonić do Barb i powiedzieć, że szybka randka wypaliła?

– Tylko spróbuj.

– Tak myślałem. – Rob pokiwał głową. — Okej, jeszcze nie teraz, zatem idę uruchomić panią Matheson. Pora na wystawną kolację.

– Bez przesady.

– Nie chcesz jej przestraszyć?

– Rob...

– Dobra, dobra. Mam ochotę na homara. Niech myśli, co chce, bo my wcale nie chcemy zrobić na niej wrażenia.

Manwillinbah Lodge.

Gdy wjechała na podjazd, poczuła się jak na innej planecie. Rozległy parterowy budynek sprawiał wrażenie przytulnego. Za ogrodem różanym ciągnęła się wiosenna zieleń winnic. To nie dla niej.

Czego się boi? Nie powinna tu przyjeżdżać. Powinna w samotności zastanowić się, co dalej. Ale przecież już się zastanawiała. I co z tego wynikło?

Nie było jej dane poukładać myśli, bo nagle do auta zajrzał Jake.

– Cześć. Już myślałem, że będę musiał po ciebie pojechać. Witajcie.

Uśmiechał się. Już samego tego uśmiechu należało się strzec.

– Przyjechałam, żeby ci... żeby Robowi podziękować za gościnę, a tobie za sprzątanie.

Pokiwał głową.

– To ma sens. Miło mi, że na coś się przydałem. A jeśli chodzi o to, że tu nie zostaniesz... Najlepiej będzie, jak wyniszczysz nam swoje argumenty przy kolacji.

– Nie mogę zostać.

– A to dlaczego?

– Nie pasuję do tego miejsca.

– Bardzo pasujesz. Nasi goście też są pogorzalcami. Nocują tutaj.

– Nie mam ubrań.

– Dziwne... Powinienem to chyba zauważyć.

– Przecież wiesz, o czym mówię – zirytowała się. Jasne.

– Wyglądasz fantastycznie – powiedział cicho. – Ślicznie. Praktycznie wszyscy naokoło chodzą w dżinsach i T-shirtach. Kolacja będzie za godzinę, więc masz czas na kąpiel.

– Mówisz, że jestem brudna?

– Mówię, że czeka na ciebie podgrzewana wanna na balkonie z zapierającym dech widokiem. Jeżeli czujesz się brudna, to tylko ty to wiesz. Chyba że chcesz, żebym ci umył plecy.

– Nie!

– Nie? – Roześmiał się, więc i ona się uśmiechnęła. W porządku, może to nie takie straszne. To nie wymaga zaufania. Zostanie na jedną noc, a jutro...

– Teraz martw się o dzień dzisiejszy – spowaźniał. Jego troska ją peszyła. Wręcz przerażała.

– Zgoda, bez mycia pleców. – Wyciągnął rękę, by pomóc jej wysiąść. – Tylko kąpiel, jedzenie i spanie. Jeśli tego ci nie trzeba, to zjem wszystkie swoje lekarskie dyplomy. Tori, nie ma przymusu. Jesteś mile widzianym gościem.

Nie cofał ręki.

– Ja nie gryzę. W pensjonacie jest Rob i nasza gospodyni pani Matheson, a na kanapach na werandzie dwie starsze panie podziwiają papugi. Jedna ma na sobie ogrodniczki, druga tweedowy kostium. Tori, tu jest bezpiecznie. Dałaś schronienie zwierzętom, teraz ono tobie się należy.

– Nie potrzebuję...

– Chyba jednak potrzebujesz. Barb jest tego samego zdania. – Zawahał się. – Przyznam się, że z nią rozmawiałem. Kiedy się dowiedziała, że koala nie przeżył, była gotowa pojechać na górę, żeby cię zabrać do siebie. Ale ona ma męża, pięciu synów i własny zwierzyniec. Uznaliśmy, że tutaj będzie ci

najlepiej. To jak, Tori? Tutaj czy u Barb, bo nikt się nie zgadza, żebyś dzisiejszą noc spędziła w motelu.

– Nawet gdybym miała takie życzenie?

– Jeśli masz takie życzenie, zapłacimy za pięciogwiazdkowy hotel w najlepszej dzielnicy Melbourne – oświadczył. – Nie myśl, że to ja bym płacił. Barb twierdzi, że w ciągu minuty cała dolina by się zrzuciła, żeby ci pomóc. To jak?

Jego ręka czekała. Co robić?

Mogłaby odjechać. Nic prostszego. Ale tam czeka kąpiel. Prawdziwa kąpiel!

Jest też Jake. To jedyny problem.

Gdy podniosła na niego wzrok, uśmiechnął się zachęcająco.

Miała nikomu nie ufać. Nie musi. To będzie noc w pensjonacie. Nic więcej. Odetchnęła głęboko i podała mu dłoń. Wysiadając, zachwiała się, a on przytrzymał ją za ramiona. Powinna się odsunąć, ale tego nie zrobiła.

– Tori...

Chodzący seks, przemknęło jej przez głowę.

O nie, to coś o wiele więcej.

Cofnęła się tak gwałtownie, że mało nie opadła z powrotem na fotel, ale do tego nie doszło. Całe szczęście. Trzeba zachować godność.

– Dziękuję... – wyjąkała, po czym obesła auto, żeby wyjąć swoje rzeczy.

– Podoba mi się twój bagaż.

– Od Gucciego. Krzyk nadchodzącego sezonu.

– Nie wątpię. Na pewno możesz dyktować modę.

– Skończ z tymi komplementami. – Czowała się skrepowana. – Obiecałeś mi kąpiel.

– Zgadza się. Zaniosę ten karton.

– Sama go zaniosę – obruszyła się. – Kiedyś polegałam na innych, ale to już przeszłość.

– To tylko przeniesienie kartonu.

– Nie – szepnęła. – Zapewniam cię, że to dużo więcej.

Leżała w wielkiej wannie, spoglądając na dolinę. Na balkonie płonęły świece, pachniało gardeniami.

– Niech się pani nie martwi, że ktoś panią zobaczy – powiedziała gosposia. – To jest szyba wenecka. Jake ją kazał zamontować po śmierci ojca.

– To Jake'a pomysł?

– Zależy mu na utrzymaniu renomy tego pensjonatu. To było oczko w głowie jego macochy i on chce to kontynuować.

Oczko w głowie macochy... Są rzeczy, które trudno jej zrozumieć, których jeszcze nie zdążyła przemyśleć.

Wiedziała, że budynek ten postawił Charlie McDonald, miejscowy lekarz, z żoną. Doktor McDonald przez dziesiątki lat pracował w dolinie. Opiekował się jej matką, pozwolił jej umrzeć w domu w otoczeniu rodziny i ukochanych zwierząt. Tori wspominała go bardzo ciepło.

Doktor mieszkał w Combadeen, a jego małżonka prowadziła pensjonat. W domu w górach spędzali weekendy, po sąsiedzku z domem jej rodziców. Ale wkrótce po tym, jak wyjechała na studia, doktor poszedł na emeryturę i przeprowadził się do miasta, więc ich kontakty się urwały. Dotarła do niej jedynie wiadomość o jego pogrzebie.

Stary Doktor nosił nazwisko McDonald, a Jake nazywa się Hunter. Nieślubny syn?

Próbowała przypomnieć sobie jakieś plotki. W trakcie pogrzebu ktoś rzeczywiście wspomniał o synu doktora, a na ścianie w jego gabinecie wisiała

fotografia małego dziecka. Musiał to być Jake. Dowie się. Ma na to mnóstwo czasu, pomyślała sennie, zanurzając się w pianie. Nie! Ona spędzi tutaj tylko jedną noc, a Jake wraca do Nowego Jorku. Nie będzie czasu na zadawanie pytań.

Zrobiło się jej dziwnie smutno.

Tej nocy nareszcie się wyśpi. Zerknęła do wnętrza sypialni. Ogromne łoże z białą pościelą, puchowe poduszki. Marzenie każdej kobiety. A Jake Hunter?

Chyba majaczy! To jedyne wytłumaczenie dla takich myśli. Nie marzy o żadnym mężczyźnie.

Jake jest inny.

Może tak, a może nie. Jake wraca do Stanów. I nawet nie chciało mu się wysilić podczas pięciominutowej randki. To ze zmęczenia chodzą jej po głowie takie głupie myśli.

Wyjdzie z wanny, zje kolację i położy się spać. Tak. Z lubością zanurzyła się w pianie.

– Tori... ?

Poderwał ją głos Jake'a.

– Tori, w porządku?

– Tak, tak! – Ojej, zamknęła drzwi na klucz?

– Kolacja czeka. Nakarmiłem Rusty'ego. Zjesz w pokoju czy w jadalni?

W pokoju, pomyślała, ale może przyszedł z tacą i jak powie, że w pokoju, to tu wejdzie.

– W jadalni.

– Pomóc ci wyjść z wanny?

– Nie!

Usłyszała jego śmiech.

– Nie zapominaj, że jestem lekarzem! Ludzkie ciało to dla mnie nic nowego.

– Nie jesteś moim lekarzem, i nie znasz mojego ciała. Idź sobie.

– Tak jest, *madame*. – Odszedł.

Wyszła z wanny. Może powinna była go zaprosić do środka? Może tego chciała? Chyba postradała zmysły.

Kolację podano na tarasie. Rusty'ego zostawiła w sypialni, na łóżku. Jak zawsze wpatrywał się w drzwi.

– Już się martwiliśmy, że spłynęłaś razem z pianą. – Jake wstał od stołu.

Oprócz niego był tam Rob i dwie starsze panie. Jedna miała rękę na temblaku i wyraźnie cierpiała, druga wyglądała nieco lepiej. Miała blizny na czole i z niepokojem spoglądała na swoją towarzyszkę, jakby się o nią martwiła. Ofiary pożaru. Pół roku po tragedii.

Rob wstał, żeby je przedstawić.

– Tori, na pewno przypominasz sobie Glendę Parling, piętnaście lat temu kierowniczkę poczty w Combadeen, i Doreen Ryde, jej siostrę. Naszą niezastąpioną gosposię, panią Matheson, już miałaś okazję poznać, a Jake'a nie muszę ci przedstawiać. Zapraszam do stołu.

Jake odsunął dla niej krzesło, więc nie pozostawało jej nic innego, jak zająć miejsce.

Potem Jake i Rob pograżyli się w rozmowie z siostrami, zostawiając Tori wolną rękę. Jakby chcieli ją chronić. Obserwowała ich, delektując się dyskretną muzyką i zapachem gardenii.

Na stole pojawiały się kolejne dania.

Przez pół roku jadła w biegu, tutaj nie było o tym mowy. Tę kolację będzie pamiętać do końca życia.

Na początek podano małe kawałki belony z plasterkiem cytryny i płatkami masła, grzanki z pastą z pstrąga przybrane kawiozem, pomidorkami koktajlowymi, szalotkami i wstęgami sałaty. Skąd taka pełna słońca sałata, skoro zima dopiero się skończyła? Rozwiązaniem tej zagadki był inspekt nieopodał tarasu.

Wieczór stawał się coraz bardziej baśniowy. Jake nalewał do kieliszków złociste schłodzone wino, konwersując z resztą gości. Tori czuła się jak w przejrzystej kapsule, gdzie mogła być sobą.

Gdy na stole pojawił się homar, aż zabrakło jej tchu. Na pewno z porannego połowu, pomyślała. Pierwszy raz będzie jadła świeżego homara. Podniosła wzrok, by napotkać spojrzenie Jake'a. Nie krył zadowolenia z jej zachwytu. Powinna coś powiedzieć, ale brakowało jej słów. Niech myśli, co chce. Skupiła się na rozłupywaniu homara.

Ale jej nie szło, strasznie się męczyła, aż w końcu Jake pochylił się przez stół i jednym wprawnym ruchem zrobił to za nią. Wyjął kawałek mięsa i jej podał. Miała ochotę jeść mu z ręki, ale się do tego nie posunęła. Wzięła kąsek homara w palce i włożyła go do ust. Powiedzmy, że z godnością.

Jake się uśmiechnął. Ona jednak nie wiedziała, co czuje, co się z nią dzieje. Siedzący obok Rob zapytał, czy życzy sobie więcej wina.

Przestraszona zasłoniła dłonią kieliszek. Wypiła tylko jeden? Kręciło się jej w głowie. Może raczej unosiła się w powietrzu. Migotały świece, nad horyzontem zawisł księżyc. Było wyjątkowo ciepło jak na początek wiosny, to dodatkowo utwierdzało ją w przekonaniu, że znalazła się w innym świecie.

Jake ją obserwował, czuła to, i to też wzmagало uczucie nieważkości.

– Chyba nie jadacie tak na co dzień – zwróciła się do gosposi, która właśnie stawiała przed nią malinowo czekoladowe *parfait*.

– Jake zażyczył sobie, żeby dzisiaj było wystawnie.

– Tutaj zawsze jedzenie jest pyszne – wtrąciła się Glenda. – To piękne miejsce. Przyjeżdżamy tu z Doreen zawsze, jak chcemy odpocząć. I czujemy się jak w niebie. Ale gdyby był tu z nami Pickles...

– Pickles?

– Nasz kot. – Glenda nagle zmarkotniała, a Tori nie umknął uwadze grymas, ilekroć starsza pani poruszała ręką. – Bardzo przeżył czas pożarów, ale już ma się lepiej. Na czas odbudowy naszego domu mieszkamy w miasteczku kontenerowym, ale obydwie mamy problemy ze zdrowiem, więc jak codzienne sprawy nas przerastają, oddajemy go do hotelu dla zwierząt.

– Nie możecie go tu przywieźć? – zdziwiła się Tori.

Starła się skupić na czym innym niż jedzenie, noc i Jake. Pani Matheson tymczasem ustawiała na stole patery z winogronami w cukrze i miniaturowymi czekoladkami. Jake spoglądał na Tori wzrokiem czarodzieja, któremu udała się magiczna sztuczka. Mogłaby go dotknąć...

– Nie wpuszczamy tu zwierząt – odezwał się Rob.

– Ale Rusty...

– Rusty jest tu na specjalne życzenie właściciela. – Rob uśmiechnął się znacząco do Jake'a. – Żona Starego Doktora miała uczulenie na sierść. Zakaz wstępu dla zwierzaków był najprostszym rozwiązaniem.

– Stary Doktor to twój ojciec? – zwróciła się do Jake'a, a on tylko skinął głową, jakby nie chciał poruszać tego tematu.

– Ojej... – wyszeptała Doreen. – To twój ojciec? Wspaniały człowiek. Kiedy nasz papa umierał, doktor był na każde nasze zawołanie. – Zawahała się. – Nie Jesteś... Doktor i Hazel nie mieli... – Nagle doznała olśnienia. – Już wiem! Jesteś synem Diane.

– Tak – odparł krótko.

Ale Doreen zjadła smakowitą kolację, piła fantastyczne wino i przestała zwracać uwagę na subtelności.

– Oczywiście. Thelma upierała się, że byłeś na pogrzebie, ale nikt jej nie uwierzył. Jesteś utraconym synkiem naszego doktora! Do końca życia za tobą tęsknił.

– Chyba nie za bardzo – zachnął się Jake. Wyraźnie nie miał ochoty o tym rozmawiać. – Od trzeciego roku życia nie miałem z nim kontaktu. Odezwał się jeden jedyny raz, ale byłem już wtedy dorosły i... no cóż... chyba nawet wtedy nie miał ochoty mnie poznać.

– Bzdura! – prychnęła Glenda. Zacisnęła pięść, ale aż syknęła z bólu, jednak nie przeszkodziło jej to wystąpić w obronie człowieka, którego najwyraźniej uwielbiała.

– Przez czterdzieści lat prowadziłam urząd pocztowy w Combadeen i powiem ci tyle, że ojciec pisał do ciebie co tydzień. Od dnia, kiedy matka z tym okropnym Amerykaninem cię zabrali. To były grube listy. Wysyłał je w każdy piątek. I prawie wszystkie wracały. Ale on pisał dalej.

– Westchnęła. – Jakieś dwadzieścia lat temu wybrał się do Stanów. „Glendo, ja go odszukam”, powiedział mi. Wrócił trzy miesiące później, kompletnie załamany. Twoja matka nie dopuściła go do ciebie. Co to za kobieta...

Czerwona z oburzenia nakręcała się coraz bardziej.

– To nie moja sprawa, ale jak słyszę, że mówisz, że się nie kontaktował, to aż się wszystko we mnie gotuje! To ona mu nie pozwoliła. Potem poznał Hazel. Nie mieli dzieci. Jake, on nigdy nie przestał za tobą tęsknić.

Przy stole zapanowała martwa cisza. Jake jest w szoku, pomyślała Tori. Widziała, jak walczy z emocjami. Może powinna go dotknąć, dodać mu otuchy.

A może nie powinna mieszać się w nie swoje sprawy.

– Poznał Hazel dwadzieścia lat temu? – wycedził z niedowierzaniem. – Chyba trzydzieści albo więcej.

– Ojej! – westchnęła Glenda. – Dlatego właśnie nie mogli mieć dzieci. Hazel była wtedy po czterdziestce. Mieli nadzieję, ale im się nie udało.

– Moja matka odeszła, bo ojciec miał romans z tą... Hazel.

– Nie, mój drogi, odeszła z powodu Amerykanina. Popsuł mu się tutaj samochód, więc musiał czekać, aż mu go naprawią, a potem... odjechał z twoją matką i tobą. Twój ojciec nie mógł w to uwierzyć. Kochał cię nad życie.

– Potrząsnęła głową. – Od początku było wiadomo, że im się nie ułoży. Twojej matce nie odpowiadało życie żony wiejskiego lekarza. Nie podobały jej się wizyty pacjentów, to, że wszyscy wszystkich znają, nie podobali się jej tutejsi ludzie. W jej opinii było tu... beznadziejnie.

– Też jesteś lekarzem? – odezwała się w końcu Doreen.

– Tak.

– Ojej, i pomyśleć – zwróciła się do Glendy – że syn doktora tu wrócił i też jest lekarzem. – Przeniosła spojrzenie na Jake'a. – Jak jesteś jego synem, to może... ? Bo widzisz, Glenda nie chce pójść do lekarza. Złamała nadgarstek, wynosząc mnie z płomieni. Nie była u lekarza, odkąd wypisano ją ze szpitala. Wiem, że ją bardzo boli.

Czy mógłbyś spojrzeć na jej rękę? Tylko żeby nam powiedzieć, co o tym sądzisz.

– Nie wiem, czy mogę. Nie mam pozwolenia na praktykowanie w Australii – odrzekł spłoszony.

– Ale mógłbyś nam coś doradzić.

– Wątpię.

– Jak jesteś synem Starego Doktora, to mógłbyś spróbować – powiedziała Doreen surowym tonem, a Tori przypomniała sobie, że Doreen była nauczycielką. – Ona strasznie cierpi. Ból nie daje jej spać. Nie przyznaje się do tego, ale ja wiem, że nie śpi. Tak się o nią martwię...

– Pociągnęła nosem, po czym chlipnęła. Siostra spoglądała na nią z przerażeniem.

– Doreen, przestań.

– Jake jest synem Starego Doktora. On nam pomoże. Nawet jest podobny do ojca – oświadczyła Doreen.

– Nie wiem, jak wyglądał mój ojciec – mruknął Jake.

– Należałoby się zwrócić do swojego lekarza.

– Oni jej przepisują tylko proszki na sen – wykrztusiła Doreen, połykając łzy. – I takie małe niebieskie przeciwbólowe, które trochę pomagają, ale ona ma po nich rozstrój żołądka, więc ich nie bierze. Te na sen jej nie pomagają. Ona dłużej tak nie wytrzyma. Obydwe nie wytrzymamy. Proszę, pomóż nam.

– Nie mamy prawa go o to prosić – stwierdziła Glenda.

Glenda ma rację, pomyślała Tori. Jemu nie wolno praktykować w Australii. Ale z drugiej strony, widziała, jak sprawnie działał przy Manyi. Jest anestezjologiem, więc zna się na bólu. Może nawet by im pomógł.

Mimo że obiecywała sobie neutralność, prośba Doreen poruszyła ją do głębi.

– Glendo, Jake jest moim przyjacielem. – Nie zwracała na niego uwagi.

– Pomógł mi ratować misia koalę. Doreen ma rację. Znałaś jego ojca, więc i jego znasz. Zgadzasz się, żeby ci pomógł? Jake, zobaczysz, czy coś da się z tym zrobić?

Spiorunował ją wzrokiem, ale skoro powiedziała A, to musi powiedzieć B.

– Jake jest anesteziologiem, specjalistą od uśmierzania bólu, prawda, Jake?

– Prawda.

– Zdajemy sobie sprawę, że nie możesz leczyć w Australii. – Patrzyła mu prosto w oczy. – Ale jeśli Glenda dostaje środki nasenne i te niebieskie pastyleczki... Morfina?

Glenda przytaknęła.

– Ale z ręką już jest lepiej. Wstawili mi tam jakieś blaszki i śruby. Więcej zrobić się nie dało.

– Pokaż.

Wszyscy wstrzymali oddech.

Bardzo powoli Glenda podała mu rękę. Ciekawe, czy on wie, jak wielkiego zaufania wymagał ten gest? Glenda przez dziesiątki lat kierowała pocztą i wszystkim była znana jako osoba bezgranicznie niezależna. Kiedy rozносиeli ją choroba, wsiadała na rower i sama rozwoziła pocztę, czasami dwa, trzy razy dziennie. Dla niej skorzystać z czyjejś pomocy...

Tori czuła, że powinna skupić uwagę na Glendzie, ale gdy ujął rękę starszej pani, miała wrażenie, że to jej dotyka. Narobisz sobie kłopotów, pomyślała oszołomiona, wyjdź natychmiast, bo jak zostaniesz dłużej...

Ale nie mogła ruszyć się z miejsca.

W skupieniu Jake delikatnie obmacywał chore ramię, wodził po nim palcem.

– Przestanę, jak tylko powiesz, że cię boli.

Powiódł palcem po wierzchu dłoni, zamknął tę dłoń, otworzył. Obserwowali tę scenę w milczeniu, nawet pani Matheson, która zbierała filiżanki, zamarła w bezruchu.

– Ściśnij moją dłoń. Każdym palcem osobno. Nie możesz go zacisnąć? To nie próbuj. Co teraz czujesz?

– Jakby to nie była moja ręka – szepnęła Glenda. – Jakby jej nie było... ale jest. Czuję ją, ale jakoś inaczej. Czasami boli mnie tak bardzo, że chętnie bym ją sobie odrąbała. To już nie jest moja ręka. Jakaś taka nieprawdziwa.

– Prawdziwa.

– Głupia ze mnie baba.

– Wcale nie – powiedział. – Od kiedy znosisz ten ból?

– Jakiś czas. – Wzruszyła ramionami.

– Od miesięcy – uściśliła Doreen. – I jest coraz gorzej.

– To prawda – przyznała cicho Glenda. – Idiotyczna sprawa. Wszystkie prześwietlenia były dobre, lekarze mówią, że nic mi nie jest, ale pojawił się ten ból...

– Miałem już z tym do czynienia. – Nie puszczał jej dłoni. – Przypuszczam, że jest to coś, co nazywamy zespołem Sudecka. Objawy mogą wystąpić dopiero kilka miesięcy po urazie. Kiedy pojawia się ból, pacjent stara się chronić rękę, a im bardziej ją chroni, tym silniejszy staje się ból. Doszło do przykurczu palców i trudno ci nimi poruszać.

– Wcale nie chcę nimi poruszać. Na szczęście to tylko ręka. Poprawia się.

– Niezupełnie. Tym uszkodzeniem nerwów trzeba się zająć.

Glenda spojrzała na niego z nadzieją.

– Lekarze twierdzą, że są bezradni.

– Bo pewnie rozmawiałaś z chirurgiem. Tutaj potrzebny jest inny specjalista.

– Taki jak ty?

– Ktoś taki jak ja. Nie mam uprawnień, ale napiszę list do twojego lekarza z prośbą, żeby skierował cię do specjalisty.

– Po więcej morfiny?

– Przy tym schorzeniu morfina nie jest najlepsza – stwierdził. – Podejrzewam, że w twoim przypadku może pomóc co innego. Jak się zgodzisz, jutro rano zorientujemy się w tutejszych układach i znajdziemy kogoś, kto ci to przepisze.

– Znam tu wszystkich – wyrwało się Tori, za co Jake podziękował jej zniewalającym uśmiechem.

– No proszę, naszym pierwszym źródłem informacji jest pani weterynarz.

Glenda spoglądała na niego z niedowierzaniem, ale on pogładził ją po policzku. Trudny gest, pomyślała Tori, zwłaszcza dla kogoś, kto stara się utrzymać dystans.

– Te leki – ciągnął – nie drażnią żołądka, poza tym nie będziesz na nie skazana do końca życia. Do tego rehabilitacja ręki. I to szybko, żeby dłoń nie przekształciła się w szpon. Tori, potrafisz znaleźć rehabilitanta?

– Tato miał pielęgniarzkę weterynaryjną, której córka robiła specjalizację z ręki – odparła, absurdalnie z siebie zadowolona. – Pracuje w tej samej przychodni, z której ja korzystam.

– Świetnie. Ale teraz... – zwrócił się do Glendy – zanim położysz się spać, powinnaś trzymać tę rękę w ciepłe. Obłożymy ją termoforami albo okładami rozgrzewającymi, jeśli Rob ma coś takiego. Weźmiesz morfinę, tak,

ona ma działania niepożądane, ale mam nadzieję, że po raz ostatni, i zaśniesz. Tak zaleca doktor.

Mimo że powiedział to śmiertelnie poważnym tonem, Glenda zachichotała.

– Tak jest, doktorze.

– To mi się podoba. Bardzo posłuszna pacjentka.

– Dziękuję – szepnęła Doreen.

Tori powiodła wzrokiem od Jake'a do Glendy i z powrotem do Jake'a. Mam problem, pomyślała.

Nikommu nie ufać? Niemożliwe.

Nie masz wyboru. Skup się na pracy. Jake jest pełen dobroci, ponieważ jest lekarzem. Zastanów się, w jaki sposób i ty możesz być przydatna.

– Rob, jutro musimy porozmawiać o zwierzętach w waszym pensjonacie – powiedziała. – Pozwalasz tu odetchnąć pogorzelncom, ale oni najbardziej potrzebują bliskości ludzi i swoich ukochanych zwierzątek. Jake, jesteś uczulony na koty?

– Nie, ale...

– Ale co?

– Nic. – Wzruszył ramionami i się uśmiechnął. – W tej chwili nie ma żadnych zastrzeżeń. Zajmij się tym. Powiedz Robowi, co ma zrobić, a on to wykona. Na pewno jesteś tylko weterynarzem?

– Zdecydowanie. – Nie czuła się zbyt pewnie, tym bardziej że jego uśmiech sprawiał, że przestawała wiedzieć, kim jest. – Przepraszam. Padam z nóg. I Rusty na mnie czeka. Dobranoc.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wyczerpana wrażeniami dnia zasnęła jak kamień, ale obudziła się nękana demonami jak zwykle koło trzeciej nad ranem. Rusty zasnął z nią na łóżku, ale teraz po staremu siedział z nosem przy drzwiach, kogoś wyczekując.

– Pora przestać na nich czekać – powiedziała, ale on tylko zapiszczał i zaczął drapać w drzwi. Wstała, żeby go wypuścić, by się przekonał, że nie ma tam nikogo.

Dawniej był częścią stada. Może powinna postarać się o drugiego psa? Może to by mu pomogło? Kiedyś gdzieś przeczytała, że miarą dobrze przeżytego życia jest liczba szczęśliwych psów, które się w nim zmieściły. Jako weterynarz oraz od dzieciństwa miłośniczka psów w pełni podzielała tę opinię, ale... Powinna zrobić ten jeden krok i zacząć od nowa. Tymczasem ani ona, ani Rusty do tego nie dojrzeli.

Wyszła na werandę. Blask księżyca nadawał wstającemu dniu odcień sepii, zmiękczał mroczne linie górskiego krajobrazu. Rusty trącił ją nosem w łydkę i zapiszczał.

– Nie powinniśmy opuszczać gór – szepnęła. – Tak nie wolno.

Ale było to konieczne. Zacznie nowe życie. Jutro? Może zbyt się pospieszyła? Czowała, że zapomniała o czymś bardzo ważnym.

– Może powinniśmy się pożegnać. Chodź, Rusty, pożegnamy się, a potem zaczniemy od nowa.

Pospieszyła z powrotem do swojego pokoju, ubrała się i wyszła. Rusty za nią.

Skrećając z ogrodu różanego na parking, nieoczekiwanie wpadła na Jake'a, który szedł z przeciwnego kierunku. Na moment ją zatkało, a i on spoglądał na nią zdumiony. Po chwili jednak pochylił się, by pogłaskać psa.

– Spokojnie, Rusty – powiedział. – Jestem przyjacielem.

Rusty powąchał jego rękę, po czym oparł się o jego nogę. To dziwne, pomyślała Tori, od śmierci swojego pana do nikogo się nie zbliżał.

– Uciekacie? – zapytał Jake, uśmiechając się ciepło.

– A gdzie węzełek? Bez węzła ani rusz.

– Nie wybieramy się daleko – wykrztusiła. – Dlaczego jesteś na nogach?

– Ta kolacja zachwiała moimi poglądami na kilka spraw. Mam w głowie kompletny mętlik.

– Dowiedziałeś się, że ojciec cię kochał.

– Upłynie jeszcze dużo czasu, zanim w to uwierzę.

– Spoważniał. – Słowa to jeszcze nie wszystko. A wy... dokąd się wybieracie?

– W góry.

– Zapomniałaś czegoś? – Spoglądał na nią ze współczuciem.

– T... taak.

– Chcesz, żebym z wami pojechał?

– Ja nie.... – Powinna odmówić, ale ta noc jest inna. Ten mężczyzna jest inny. – Wyjeżdżaliśmy w pośpiechu – powiedziała cicho. – Jutro zaczniemy od nowa. Przez pół roku żyliśmy z dnia na dzień, ale teraz pomyślałam...

Chciałam tylko z nimi... – Głos jej zadrżał, a on nie spuszczał z niej wzroku.

– To zrozumiałe. – Ujął jej dłoń. – Zawieźć cię? – Nie chcę.

– Jak nie chcesz, żebym ci towarzyszył, do waszego powrotu będę tu czekał. Będę tu siedział i czekał. Może uda mi się uwolnić od swoich upiorów.

Ale jak nie wrócisz o świcie, pojedę na górę i zażadam od duchów, żeby cię oddały. Tori, twoje miejsce jest w świecie realnym. Teraz ten świat będzie cię strzegł. Ja będę cię strzec.

Wierzyła mu. Ufała? Znowu to groźne słowo, ale noc była spokojna i piękna, a spojrzenie Jake'a wolne od krytycyzmu, zaborczości, pożądania. Było... pełne zatroskania?

Nie potrafiła się oprzeć.

– Tak, zawieź – wyszeptwała. – Będzie mi miło, jeśli ze mną pojedziesz.

Rusty leżał na jej kolanach, ale zamiast jak zawsze wyglądać przez szybę, wpatrywał się w Jake'a.

Podobnie jak Tori. Nie potrafiła określić, co czuje. Nie dowierzała intuicji, która kazała jej przyjąć propozycję Jake'a, ale teraz jego obecność utwierdziła ją w przekonaniu, że podjęła słuszną decyzję o pożegnaniu.

W końcu zajechali na podjazd przed czymś, co kiedyś było jej domem. W blasku księżyca pogorzelnisko sprawiało jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie niż za dnia: poczerniałe sztachety ogrodzenia, ogromne drzewa, powalone, ale jeszcze niepocięte, i czarna otchłań na tle buszu w miejscu, gdzie kiedyś stał dom.

Z popiołu sterczał jedynie komin niczym samotny wartownik, pomnik tego, co się tu wydarzyło.

– Trudno sobie wyobrazić, jak to wyglądało – szepnął Jake, a ona tylko pokiwała głową, tłumiąc łzy. Co jest w tym człowieku? Od pół roku nie uрониła ani jednej łzy, więc dlaczego akurat teraz zbiera się jej na płacz?

– Byłam wtedy w miasteczku. Nie mogłam wrócić. Cała góra stała w ogniu. Odchodziłam od zmysłów. Wszyscy, którzy mieli tam bliskich, odchodzili od zmysłów. Pojechaliśmy tam dopiero trzy dni później. Trzy dni...

W milczeniu wpatrywał się w zgliszcza.

Gdy wysiadła, nie poszedł za nią, instynktownie wyczuwając, że sobie tego nie życzy. Towarzyszył jej Rusty. On miał prawo. To był ich dom.

Dom. Gdyby mogła cofnąć czas...

Pod kominem stał kominek, prawie nienaruszony, obok kilka cegieł, które spadły, gdy runęła belka stropowa. To wtedy Rusty stracił tylną łapę.

Dotknęła półki nad kominkiem, gdzie kiedyś stały ślubne fotografie rodziców, małej Tori i Micki, dużej Tori z dyplomem ukończenia studiów, dużej Micki w roli modelki.

Ten kominek był sercem ich domu. Uratował Rusty'ego, jedyną nić łączącą jej przeszłość z przyszłością.

Pocieszała się smętnie, że ojciec i siostra wierzyli, że ona po nich wróci. Tylko to sprawiło, że nie oszalała. I ten ostatni rozpaczliwy telefon od Micki.

– Tori, ogień przeszedł na nasze zbocze!

– Zawiadomiłam służby ratunkowe – odpowiedziała wtedy, dociskając gaz do deski, zanurzając się w chmurę dymu tak gęstego, że wiedziała, że nie przejedzie. – Straż pożarna jest w drodze. Ja też jadę. Tylko spokój.

Tylko spokój. Siostry zawsze tak się żegnały, a ojciec przejął od nich to hasło.

Micki się wtedy roześmiała.

Nie wątpiła, że ojciec i siostra umierali ze świadomością, że ona poruszy niebo i ziemię, by ich uratować.

Nieoczekiwanie ogarnął ją spokój. Duchy były przy niej, czuła ich obecność. Dobrze, że tu jestem, pomyślała.

Rusty przywarł do jej nogi, więc uklękła, żeby go przytulić.

– Poradzimy sobie – szepnęła. – Nie potrafię wybaczyć Toby'emu, ale... może wybaczę sobie, że mu zaufałam. Tato i Micki też mu ufali. Na pewno by nie chcieli, żebym żyła w poczuciu winy.

Jake czeka. Życie czeka. Pora iść. Stał na skraju polany.

– Jest dobrze – powiedziała, blado się uśmiechając,

– Nie będę płakać ani drzeć szat.

– To dobrze.

– Dziękuję, że tu jesteś.

– To dla mnie zaszczyt – odparł ponuro.

Stapała ostrożnie przez pogorzeliśko, a on wyszedł jej naprzeciw. Gdy nagle się potknęła, chwycił ją za rękę.

– W porządku? – zapytał, a ona tylko pokiwała głową.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak tu było pięknie

– wyszeptała. – Mama, tato, siostra, przyjaciele, nasze psy i kury...

– Kury?

– Tak. Przeróżne. Tato hodował rzadkie rasy. W sadzie. Chcesz zobaczyć nasz sad?

Nie czekała na odpowiedź, tylko poprowadziła go za obręb domostwa. Drzewa owocowe odcinały się od innych, które porastały zbocze, ponieważ nie były spalone. W świetle księżyca stały obsypane kwieciem na dywanie soczystej zielonej trawy.

– To są drzewa liściaste. Były tak samo zielone tamtego lata, więc nie spłonęły – wyjaśniła. – Trawa się spaliła, ale drzewa się nie zajęły. Na brzoskwini miałyśmy z Micki huśtawkę. Ja ją jeszcze tu zawieszę. – Zawahała się. – Mam nadzieję.

– Wróciłabyś tu?

– To moje miejsce, mój dom. Rusty też tak uważa.

Ale Rusty się nie rozglądał. Stał przytulony do nogi Jake'a. Znalazł nowego protektora, pomyślała.

Mijając kwitnącą wiśnię, zanurzyła palce w białych kwiatach i nagle poczuła, że się uśmiecha. Rusty tymczasem podszedł do najstarszego drzewa, do brzoskwini. Zanurzył łebek w wysokiej trawie i aż westchnął z zadowolenia.

Wspaniałe uczucie. Po raz pierwszy od pół roku Tori poczuła się wolna, nareszcie w otoczeniu kochających duchów swoich najbliższych. Czuła, że ich obecność nie stanie jej na przeszkodzie.

Był też Jake. Dobrze, że się tu znalazł.

– Jesteś piękna – odezwał się, a ona się uśmiechnęła i potrząsnęła gałęzią, obsypując ich deszczem białych płatków.

– Taka się czuję – odparła z prostotą. – Dziękuję ci.

– To nie moja zasługa. – Podszedł bliżej, by zdjąć płatek z jej włosów. – Sama stanęłaś oko w oko ze swoimi demonami.

– Nie. Nie wiesz, że nie należy tego robić w samotności? Jake, czuję, że jesteś samotnikiem, ale tej nocy nie można być samotnym.

I nie wiadomo dlaczego, wspięła się na palce i go pocałowała.

Tej nocy nie można być samotnym...

Miniony dzień był dla niego przełomowy. Przyleciał do Australii sprzedać swoje posiadłości, by ostatecznie zerwać z ojcem, którego nienawidził, którym nawet gardził.

Ale wszystko się zmieniło. Obiektywny świadek podał w wątpliwość obraz przeszłości wpajany mu przez zgorzkniałą matkę.

Borykał się z mieszanymi emocjami podobnie jak Tori i nawet nie potrafił powiedzieć, co czuje. Ale nie musiał się nad tym zastanawiać, bo Tori przejęła inicjatywę. Całowała go wtulona w niego, a on tylko czuł jej słodycz i delikatność... Oraz urok tej nocy. Pożądał jej.

Jakby czytając w jego myślach, szepnęła:

– Pragnę cię.

Objął ją zaborczym gestem, doskonale zdając sobie sprawę z tego, czego sam pragnie. Tori.

Jawiła mu się jako najpiękniejsza kobieta na jego drodze życiowej. Pierwszy raz tak bardzo pożądał kobiety. Pchała go ku niej jakaś pierwotna siła, jakiś niepojęty magnetyzm. Oboje zdawali sobie sprawę, do czego to prowadzi oraz jak odpowiedni jest to moment. Ale...

– Nie mam prezerwatywy – wykrztusił. – Nie możemy...

– Jestem zabezpieczona – wyszeptała. – Jeśli nie mieliśmy wielu partnerów, to nic nie ryzykujemy. Ja i Toby... badaliśmy się.

Przegarnął włosy palcami. Nie powinni tego robić.

– Tori, nie znasz mnie. Nie powinnaś mi ufać.

– Wiem, że to głupie, szalone, ryzykowne, szalone...

– Już raz powiedziałaś, że to szalone.

– W dwójnasób szalone.

– Mamy się opamiętać i wrócić do pensjonatu? – powiedział zasadniczym tonem, dając jej szansę rozsądnego wyboru.

Ale komu zależy na rozsądnych wyborach? Nie Tori. Rozsądnie będzie jutro. Nie odrywając od Jake'a wzroku, ściągnęła przez głowę kurtkę i cisnęła ją na ziemię. Zdjęła buty, a następnie dzinsy. Gdy stanęła przed nim w bieliźnie, zaparło mu dech w piersiach.

– Nie wszystko, co mam, pochodzi z drugiej ręki. Szwajcarzy przysłali nam karton markowej bielizny. – Uśmiechnęła się na widok jego zdumienia.

Pierwszy raz widział tak piękną bieliznę na tak pięknej kobiecie.

– Jesteś cudowna – szepnął z przekonaniem, a ona mu uwierzyła. – Ale... jesteś pewna? Jeszcze nigdy nikogo tak bardzo nie pragnąłem, ale muszę wracać do Stanów...

– Czeka tam na ciebie praca. – Patrzyła mu prosto w oczy. Zdawali sobie sprawę, że jest zdecydowanie za wcześnie, by podejmować decyzje na przyszłość. – Jake, to nie jest pięciominutowa randka ani jakiegokolwiek zobowiązanie. Powiedzmy, że jest to zauroczenie, ale tylko tej nocy. Ty tego potrzebujesz i ja tego potrzebuję, ale tylko teraz. Ufam ci. – Nagle pomyślała o jego ojcu, człowieku, którego znała i darzyła szacunkiem. Jake jest jego synem...

Jake... nieznajomy, a znajomy. Teraz należy do niej.

– Jestem tego pewna. Moje ciało domaga się ciebie i ja też cię pragnę. – Rozpięła biustonosz.

Bez namysłu obsypał jej piersi pocałunkami i pieszczotami, a ona zadrżała z rozkoszy.

Szalone, ale cudowne. Czują, że cała płonie.

Wcale nie szalone ani głupie. Wspaniałe.

Jake. Powinna się wstydzić, albo przynajmniej czuć się skrepowana. Nic z tego. Jego spojrzenie mówiło jej, że Jest piękna i tej nocy postanowiła w to uwierzyć.

– To niesprawiedliwie – szepnęła, sięgając do guzików jego koszuli. Rozpinała je jeden po drugim, podczas gdy on wargami pieścił jej twarz, szyję, dekolt...

W końcu opadli na zieloną murawę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przed świtem ruszyli z powrotem do Manwillinbah Lodge. Jake prowadził, a Tori... trwała w uniesieniu. Czowała się piękna i hołubiona.

Jej świat przeszedł nieoczekiwaną metamorfozę, jakby nagle rozbłysło nad nim słońce. A gdy zatrzymawszy się pod domem, Jake nie pozwolił jej pójść piechotą, tylko wziął ją na ręce, nie tylko ją, ale i Rusty'ego, bo nie wypuszczała go z objęć, przyszło jej na myśl, że narodziła się na nowo.

Świtało. Zaczynało się nowe życie.

– Uśmiechasz się jak kot, który dobrał się do śmietanki – zauważył Jake.

– Bo tak się czuję – odparła rozpromieniona. – I wiem, gdzie jest śmietanka.

– Tori...

Uciszyła go, kładąc mu palec na wargach.

– Ani słowa. Było... Lepiej być nie mogło. Przebudziłam się. Nie wiem, czy potrafisz to zrozumieć.

– Rozumiem tylko tyle, że jesteś piękna. Czy mogę cię zanieść do swojego pokoju?

– Nie. Nie chcę się obudzić przy tobie. Rysy mu stężały. Dlaczego?

– Jake, to nie to... – Zależało jej, by go nie zranić, więc pospiesznie szukała słów. – To, co się wydarzyło, to były czary, coś ponadczasowego. Bardzo tego potrzebowałam,

potrzebowałam ciebie i będę ci za to wdzięczna do końca życia ale jeżeli obudzę się rano koło ciebie... Już jest rano.

Przecież wiesz, co mam na myśli. Gdybym miała się obok ciebie obudzić, mogłabym się ciebie uczepić, a tego nie chcę. Nie chcę, żeby cokolwiek popsuło to, co dzisiaj przeżyliśmy. Nie chcę się zakochać.

Skąd się to wzięło? Nieważne skąd. Nie miała pojęcia, co dzieje się w głowie Jake'a, ale to czuła i uznała, że należy tego się lękać. Miłość po jednej nocy? Wątpliwe.

Musi, po prostu musi zacząć nowe życie. W magiczny sposób Jake dodał jej sił, więc nie wolno jej tej szansy zmarnować.

– To była piękna noc – szepnęła. – Kochałam cię tej nocy, ale oboje wiemy, ile nas dzieli. Pogódźmy się z tym i pójdźmy każde swoją drogą.

– Nie wiem, czy potrafię. – Nogą otworzył drzwi do jej pokoju. – Mam cię tu zostawić?

– Ale ja chcę tego. – Na pewno? Jej serce protestowało, ale umysł nakazywał rozsądek.

– Jesteś taka...

– Ty też.

Umilkli, bo zza ściany dobiegł ich stłumiony okrzyk bólu. W sąsiednim pokoju mieszkała Doreen.

Nie mogli puścić tego mimo uszu. Tori wysliznęła się z objęć Jake'a, by położyć Rusty'ego na swoim łóżku. Jake tymczasem był już na korytarzu.

Powstrzymała go w ostatniej chwili, gdy kładł dłoń na klamce.

– Ja do niej wejść. Ona mnie zna. – Zapukała. – Doreen, to ja, Tori. Mogę wejść?

– Och, ja... Nie. O Boże, obudziłam cię? – mówiła Doreen ledwie słyszalnym szeptem. – Przepraszam.

Tori weszła do środka, zostawiając lekko uchylone drzwi, żeby Jake wszystko słyszał.

– Doreen, co się stało? – W półmroku dostrzegła drobną postać wśród poduszek.

– Tylko nie mów Glendzie. Obiecuj, że nie powiesz. Nareszcie śpi jak należy. To tylko dusznica. Nic ważnego. Budzi mnie ból, a w takim półśnie odzywają się nocne zmory.

Znała to aż nadto dobrze. Dręcząc wszystkich, którzy tamtego dnia byli w górach, pomyślała, ale przytulając Doreen, czując, jak drży, skonstatowała, że to coś poważniejszego niż zły sen. Dotknęła palcem jej tętnicy szyjnej. Pulsowała zdecydowanie za szybko.

– Doreen, to chyba nie jest duszność. – Mówiła spokojnie, żeby jej bardziej nie przestraszyć. – Chyba powinien cię ktoś zbadać. Mogę wezwać karetkę?

– Nie!

– Wobec tego poproszę Jake'a.

– Nie – wyszeptała Doreen, po czym nieprzytomna osunęła się na poduszki.

– Jake! – krzyknęła Tori. – Jake, jesteś tu potrzebny! – Ułożyła Doreen wygodniej. – Powiedziała, że to dusznica bolesna, ale to chyba... atak serca.

– Sztuczne oddychanie – zaordynował, rozrywając koszulę chorej aż do pasa. – Przechylił jej głowę do tyłu, zatkał jej nos i wdmuchuj powietrze w płuca, a ja będę uciskał klatkę piersiową. Do roboty, Tori...

Nie trzeba było jej tego powtarzać. Wdmuchiwała i się modliła, wdmuchiwała, modliła...

Potrzebny im ambulans, defibrylator, tlen, adrenalina, ale nie mieli czasu na wzywanie pomocy. Jeśli Doreen nie zacznie samodzielnie oddychać teraz, nie uratuje jej żaden specjalistyczny sprzęt.

Niech już nikt nie umiera, błagam, nie Doreen.

Dmuchaj i módl się, dmuchaj...

– Spokojnie, Tori... – powiedział cicho Jake, wyczuwając jej zdenerwowanie. – Spokojnie, powoli, miarowo i nie przestawaj, dopóki nie zobaczysz, że klatka piersiowa się uniosła.

Jak długo jeszcze? Proszę...

– Dwie minuty, nie dłużej. Tori, głęboki wdech, głębszy... Będę uciskał mocniej.

Po chwili usłyszała charakterystyczny trzask pękającego żebra. Zacisnęła powieki, ale nie przestawała reanimować. Kolejny trzask.

Moment później usłyszeli chrapliwe westchnienie. Doreen zadrżała na całym ciele, po czym zaczerpnęła powietrza. Żyje.

Jake ułożył ją na boku, żeby się nie zakrztusiła.

Tori przykucnęła, czując, że jest jej niedobrze, ale natychmiast jej to przeszło. Nie wiadomo dlaczego przypomniało się jej, jak wkrótce po pogrzebie matki ojciec przyniósł do domu dwa szczeniaki. Z siostrą nazwały je Itsy i Bitsy. Teraz, całkiem niestosownie do okoliczności obiecała sobie, że jeśli Doreen przeżyje, sprawi sobie drugiego psa i da mu imię Itsy. O to też się modliła.

Oddech Doreen stawał się coraz bardziej miarowy.

Mimo promiennego uśmiechu na twarzy Jake jeszcze się nie zrelaksował. Nie spuszczał wzroku z pacjentki, skoncentrowany na jej stanie.

– Wezwij karetkę – polecił Tori. – Macie tu erkę?

– Oczywiście.

– Wezwij ją. I to na wczoraj. Potem obudź Roba i każ mu przynieść pakiet pierwszej pomocy. Wiem, że jest tam tlen. Pospiesz się.

Nie była lekarzem, ale w pełni zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji. Coś zatrzymało dopływ krwi do serca Doreen i to coś nadal je hamowało.

– I niech Rob też przyniesie rozpuszczalną aspirynę – rzucił za nią. Widząc, że Doreen otwiera oczy, zmienił ton. Przysiadł na brzegu łóżka i wziął ją za rękę. – Ale nam napędziłaś strachu... Straciłaś przytomność, a ja jestem anestezyjologiem, nie kardiologiem. I nie mam prawa praktykować w Australii. Chcesz mi przysporzyć problemów?

On jest cudowny, pomyślała Tori, znikając za drzwiami.

Erka przybyła z całym zespołem ratowników. Działali szybko i sprawnie, więc Tori i Rob już nie byli potrzebni. Doreen w dalszym ciągu nie pozwalała im budzić siostry.

– Od tygodni nie zmrużyła oka – wyszeptała. – Zajrzałam do niej, zanim się położyłam. Spała jak suseł. Nie budźcie jej. Nie musicie ze mną jechać.

– Ja z tobą pojedę – odezwała się Tori.

– Nikogo nie potrzebuję.

– Potrzebujesz. – Tori się uśmiechnęła. Wydarzenia tej nocy sprawiły, że czuła się lekko oszołomiona i szczęśliwa. Teraz już nic złego się nie stanie. Jake uratował Doreen, ale chyba... również ją, bo gdzieś zniknął ogromny ciężar, który dźwigała od pół roku.

Spuściła wzrok, bo coś się otarło o jej łydkę. Był to Rusty, który wcale się do niej nie przytulał, tylko sadowił, by przylgnąć do nogi Jake'a. Ty też? W tej samej chwili Doreen dotknęła ręki Jake'a. Ona też?

– Pojedziesz ze mną? – zapytała Doreen zalekniona.

– Jesteś synem Starego Doktora...

– Jestem...

– To dobry pomysł – odezwał się Rob, nie kryjąc ulgi.

– Dobrze by było, żeby był przy niej lekarz. – Na wypadek drugiego ataku. Nie powiedział tego głośno, ale wszyscy o tym pomyśleli.

Doreen przytaknęła.

– Syn Starego Doktora... – szepnęła. – Combadeen znowu ma lekarza. – Mocniej uścisnęła mu rękę. – Dobrze, że wróciłeś do swoich.

Kto by zasnął po takich wydarzeniach? Karetka odjechała, a Tori, mimo nalegań Roba, została na werandzie i patrzyła na wschód słońca. Rusty znowu wpatrywał się w drogę, ale sytuacja się zmieniła. Zmieniła się osoba, na którą czekał.

– Nie ma sensu zmieniać sojusznika – zwróciła się do niego – aczkolwiek jako środek tymczasowy jest całkiem przydatny.

Problem w tym, że Jake nie był środkiem tymczasowym, chyba raczej środkiem trwałym. Oczywiście to niemożliwe.

Kiedy spotkali się w nocy, sprawiał wrażenie wytrąconego z równowagi informacjami o ojcu. Będzie zmuszony sporo sobie przemyśleć.

Szedł za noszami z Doreen z miną człowieka, który zrobi wszystko dla pacjentki, ale mimo to widać było, że jest bardzo poruszony. Co Doreen powiedziała? Że wrócił do swoich. Jeszcze mu do tego bardzo daleko.

Siedziała nieopodal okna sypialni Glendy, więc gdy usłyszała, że ta się obudziła, zaszła do niej, by opowiedzieć, co się stało. O dziwo, jej relacja sprawiła Glendzie ulgę.

– Czuję, że jest źle. Kiedy wynosiłam ją z płomieni, była nieprzytomna, a ja czułam, że to nie z powodu zezadzenia, ale wszyscy byli wtedy tacy zajęci... Opatrzyli tylko jej oparzenia. – Usiadła, osłaniając chorą rękę. – Ale jest z nią syn Starego Doktora. Wrócił w rodzinne strony. Jestem pewna, że nic złego się jej nie stanie.

Spokojnie zjadła śniadanie, pokładając w Jake'u bezgraniczne zaufanie. Nie odmówiła, kiedy Rob zaproponował, że ją zawiezie do szpitala, by zmienić Jake'a.

Gdy odjechali, Tori nareszcie mogła pójść do łóżka.

Jake wrócił do swoich? Nie miało to większego sensu, ale kołatało się jej po głowie, dopóki nie zasnęła.

Koło południa Jake nadjechał autem Roba.

Doreen ostatecznie przewieziono do dużego szpitala klinicznego. Bez Glendy. Uparte i niezależne, tak Jake określił siostry. Martwiły się o siebie nawzajem, ale o sobie nie myślały.

– Ty zostań tutaj i daj sobie zbadać tę rękę – zarządziła Doreen, gdy wywożono ją do karetki. W szpitalu klinicznym czekał ją zabieg wszczepienia stentów.

Rob zaproponował, że zostanie z Glendą. Miał do załatwienia kilka spraw w mieście, więc przystał na to, by Jake przyjechał po nich po południu. Jake mógł zatem wrócić do pensjonatu, ale w szpitalu w Combadeen brakowało personelu, więc gdy tamtejsza lekarka oglądała rękę Glendy, a ta powiedziała jej, czym zajmuje się Jake, lekarka nie chciała go wypuścić.

– Skoro jesteś anestezjologiem, przyda mi się twoja porada – powiedziała tak stanowczym tonem, że nie miał wyjścia. – Specjalista może przyjąć Glendę dopiero pod koniec miesiąca, ale nie mogę tak długo skazywać jej na taki ból. Gdyby mi wcześniej powiedziała...

Najwyraźniej nie powiedziała. Gdy wypisano ją ze szpitala, zgłaszała się na kontrole, a potem przestała się skarżyć.

– Ból neuropatyczny należy do najostrzejszych – mówiła doktor Susie Fulton, przeszywając Jake'a spojrzeniem – ale anestezjologowi łatwiej go zdiagnozować niż Lekarzowi rodzinnemu. – Zwróciła się do Glendy. – Zgadza się pani, żeby doktor Hunter zbadał panią i powiedział nam, co się dzieje? Dzięki temu będę mogła pomóc, dopóki nie przekażę pani specjalście.

– Jake jest specjalistą – obruszyła się Glenda. – Jake jest synem doktora McDonalda.

– Charliego McDonalda?! – Susie się rozpromieniła. – Syn Charliego? O Boże, wrócił pan w rodzinne strony?

– Nie – zachnął się. – To nie są moje rodzinne strony.

Ale przez cały czas, gdy badał Glendę, i potem w drodze powrotnej do pensjonatu, ta fraza dźwięczała mu w uszach.

To mają być jego rodzinne strony? Na pewno nie. Niby dlaczego nie? To nie ma sensu.

Matka nienawidziła tych stron. Dusiłam się tam, mówiła. Wszyscy wszystko o sobie wiedzą. Nie można od tego uciec. Każdy był najlepszym przyjacielem twojego ojca. Wszyscy uważali mnie za swoją własność. Klaustrofobiczne miejsce... Ludzie się ciebie czepiają, nieustannie cię potrzebują. Nawet sobie tego nie wyobrażasz.

Potrafił to sobie wyobrazić. Doreen się jego uczepiła, a potem, w szpitalu, to samo zrobiła Glenda, potem ta lekarka, nawet Rob...

– Całe szczęście, że byłeś na miejscu – powiedział. – Wiesz, stary, gdybyś rozważał możliwość osiedlenia się tutaj, to ta dolina potrzebuje lekarzy bardziej niż deszczu.

Czuł się przytłoczony nadmiarem wydarzeń. Co gorsza, mieszane emocje związane z powiązaniem rodzinnymi, które w jego opinii nie istniały, zdominował fakt, że kochał się z kobietą, która zawładnęła jego sercem.

Poznał ją zaledwie dwa dni temu.

Zdezorientowany i skonany zjechał na pobocze i zamknął oczy. Musi się zdrzemnąć. To go postawi na nogi, rozjaśni umysł, wytłumi biały szum. Usiadł wygodnie. Spał niedługo, bo otworzył oczy, gdy stado białych kakadu siadło na padoku nieopodal auta. Skrzeczały i krążyły w powietrzu jak na filmie Hitchcocka.

Ale w głowie już mu się rozjaśniło.

Wbrew wywieranym naciskom jego dom jest gdzie indziej, nieważne, że tu żył jego ojciec. Zdecydowało o tym skrzeczenie tych obcych mu ptaków.

Ale Tori...

Tori jest inna. Zawładnęła jego myślami. Tori jest wyjątkowa. Białym szumem jest klaustrofobiczny charakter tej doliny oraz jej potrzeby. Należy go usunąć. Ten szum go nie dotyczy. Tori to co innego.

Może nie da się ich rozdzielić?

Hm, jeśli nie... Nie ma tu dla niego miejsca. Jego życie, praca oraz przyszłość to Manhattan. Ostatnie dwa dni niczego nie zmieniły.

Ale chyba uległ czarowi kobiety o imieniu Tori.

Zaraz po przebudzeniu zadzwoniła do szpitala.

– Wszystko w porządku – poinformowała ją Susie.

– Doreen jest w Melbourne North Western. Była już u kardiologa. Po południu wszczepią jej stenty. Kardiolog jest dobrej myśli. Glenda została u nas. Jest teraz u rehabilitantki specjalizującej się w kończynach górnych. Tak na marginesie powiem ci, że Jake jest super. Wiem od Glendy, że poznaliście się podczas szybkiej randki. Jak wam poszło?

Tori się zaczerwieniła. W tej dolinie nie ma sekretów.

– Jake nic dla mnie nie znaczy.

– Jasne, ale, kochana, byłabym ci bezgranicznie wdzięczna, gdybyś zrobiła coś, żeby coś dla ciebie znaczył. Ktoś taki bardzo by się tu przydał. Jego ojciec cieszył się tu wielkim mirem. Pacjenci mieliby do niego zaufanie.

– On mieszka w Stanach.

– Ale ma tu kilka domów – zauważyła Susie. – Zastanów się, jak go tu zatrzymać.

– Susie...

– Tylko tak mi się powiedziało. – Susie się roześmiała. – Czy on teraz jest z tobą?

– Nie.

– Niedługo tam będzie. Rob ma kilka spraw do załatwienia. Umówili się, że Jake wróci po Roba i Glendę o piątej, więc macie dla siebie sporo czasu. Kochana, pomyśl, co mogłabyś zrobić w tej sprawie. Od lat składam zapotrzebowania na partnera i nic. Byłabym szczęśliwa, gdyby tobie udało się to osiągnąć dzięki tej szybkiej randce. – Roześmiała się i rozłączyła.

Tori z obrzydzeniem popatrzyła na słuchawkę. W dolinie już plotkują.

O tym, co wydarzyło się w nocy, nie wie nikt. Ich wiedza ogranicza się do randki oraz do tego, że mieszkają pod jednym dachem. Mimo to już się zaczęło...

Zaczerwieniła się. Jake nie będzie zadowolony. Ona też. Nie życzy sobie, by plotki skaląły minioną noc. Więc się wynieś, mruknęła. I to szybko. Jake już jest w drodze do domu, więc się pospiesz. Jeszcze tylko jeden telefon.

– Ależ oczywiście – powiedziała kobieta. – Pani chyba jako ostatnia zjechała z gór. Mamy jeszcze trzy wolne domki, więc jest w czym wybierać.

Z minuty na minutę coraz bardziej przerażona, uznała, że rzeczy zabierze później. Wzięła Rusty'ego na ręce i ruszyła w stronę podjazdu.

Ledwie wyjechała za bramę, niemal zderzyła się z Jakiem. Zatrzymała się. Wypada się pożegnać.

Kochała się z nim. Jak by to wyglądało?

Gdy wysiadł z auta, zauważyła, że ma zmięte spodnie, a na koszuli plamy z trawy. Był nieogolony i nieuczesany.

Zrobiło się jej gorąco, gdy się do niej uśmiechnął.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał, zaglądając przez szybę od strony pasażera. Rusty aż się skręcał, by się do niego dostać, więc opuściła szybę.

W tej samej chwili Rusty dosłownie rzucił się Jake'owi na szyję, nie kryjąc radości ze spotkania z przyjacielem.

Jego przyjacielem. Jej przyjacielem.

– Jadę obejrzeć swój nowy dom.

– Mogę z wami pojechać?

Czy może? Hm, nie. To nierozsądne. Ale Rusty lizał go po twarzy, a on się zaśmiewał, więc o co chodzi? Oczywiście, że może z nimi jechać.

– Oczywiście – odparła. Co teraz będzie z jej planem ucieczki? – Nie masz nic innego do roboty? – zapytała z nutą nadziei w głosie.

– O piątej muszę zabrać Roba i Glendę ze szpitala, więc mam cztery godziny.

– Nie jesteś śpiący?

– Spałem.

– Spałeś?!

– Ponad godzinę. Dłużej śpią tylko mięczaki.

– Aha. – Włączyła silnik.

Jechała obejrzeć swój nowy dom, a obok niej siedział jej mężczyzna. Jej mężczyzna, który nie był jej mężczyzną. Lekarz z Manhattanu. Jake.

Już z daleka dostrzegła tymczasowe miasteczko dla pogorzalców. Wyglądało jak rzędy pudełek od butów, więc zorientowała się, że nie ma tam w czym wybierać, bo wszystkie pudełka będą takie same.

– Co to ma być? – zapytał Jake, rozglądając się.

– Dom – odparła rezolutnie. Podeszła do pudełka numer 86 i otworzyła drzwi. Stała jak wryta.

To ma być dom? Nie. Musi natychmiast coś zrobić, żeby to wyglądało jak prawdziwy dom, bo inaczej się rozmyśli. To, co wydarzyło się w nocy, przyspieszyło jej postanowienie o rozpoczęciu nowego życia, ale w tej

chwili... Bliskość Jake'a stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Więc ten „dom” jest sensownym rozwiązaniem. Ale jest beżowy! I Jake stoi obok.

Hm, wykorzystam go, pomyślała. Jego siłę.

– Musimy jechać na zakupy – stwierdziła, ale on jej nie słuchał.

– Nie możesz tu mieszkać. Tu jest jak w tandetnym hotelu.

– Tu jest o wiele lepiej niż w hotelu – mruknęła. – To miejsce jest nowe, wygodne i moje.

– Co masz zamiar tu robić?

– Otrzymałam propozycję pracy w klinice małych zwierząt pod Melbourne.

– Będziesz robiła to samo, co w górach?

– Prowadziliśmy z ojcem lecznicę dla koni – wyjaśniła – ale małe zwierzęta też leczyliśmy. W górach było dużo koni, ale teraz już ich nie ma i długo ich nie będzie, więc zostają mi tylko zwierzaki domowe. – Ściągnęła brwi. – Nieważne. Ta noc mi pokazała, że mogę zaczynać nowe życie. I to zrobię. – Rozejrzała się. – Masz rację, tutaj nie da się żyć. – Spojrzała na zegarek. – Powinnam była przyjechać tu sama, ale mamy sporo czasu, zanim pojedziesz po Glendę. Później nie zdążyłabym wszystkiego kupić, a już dzisiaj musi tu być przytulnie.

– Chcesz tu dziś nocować?

– Oczywiście – rzuciła zdecydowanym tonem. – To jest pierwszy dzień reszty mojego życia. Chcesz jechać na zakupy?

– Jest...

– Dużo czasu – dokończyła, niespieszona jego wahaniem. – Kilka mil stąd znajduje się wielkie centrum handlowe prowadzone przez Azjatów, jestem pewna, że znajdę tam wszystko, czego mi trzeba.

Patrzył na nią osłupiały. Tori wczoraj i Tori dzisiaj to zupełnie inna osoba. To, co zaszło między nimi, do głębi nim wstrząsnęło, ale dla Tori okazało się punktem zwrotnym, dokonała się w niej przemiana z kobiety pogrążonej w smutku w kobietę energicznie wkraczającą w nowe życie.

– Szkoda, że nie mamy dwóch samochodów. – Chyba jednak nie bardzo się tym przejęła. – Poczekasz tutaj czy chcesz patrzeć, jak kupuję?

– Zakupy to moje ulubione zajęcie – zełgał.

– Naprawdę?

– Nie. Ale to ciężka praca. Mogę całymi godzinami się temu przyglądać.

Roześmiała się. – Rusty musi się zdrzemnąć. Mam dla niego gryzaka więc chętnie tu zostanie. – Zadzwoiła kluczykami. – Ty prowadzisz czy ja?

– Ja – odparł. – Ruch lewostronny to ciekawe wyzwanie, a ty oszczędzaj siły przez zakupami.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

To dopiero były zakupy! Jake obserwował Tori S nieskrywanym podziwem. Narzuty, poduszki, dywaniki, zasłony, koce, dzbanki, wazoni... Nie wahała się ani chwili. Gdy zobaczyła coś, co jej się podobało, wkładała to do wózka, a gdy wózek był pełny, wręczała to jemu.

– Zabraknie ci czasu i miejsca na chleb i mleko – odezwał się zza naręcza chodniczków.

Dołożyła mu jeszcze jeden chodniczek, po czym lekko pchnęła w stronę wyjścia.

– Mleko i chleb zdążę kupić po tym, jak zawieziemy Glendę i Roba do domu.

– Naprawdę chcesz dzisiaj opuścić pensjonat?

Wykładała rzeczy przy kasie, jednocześnie szukając w torbie portmonetki.

– Oczywiście. Muszę mieć swoje miejsce, ale nie w beżach. Gorszy jest tylko szary. Nigdy więcej szarości.

– Byłoby dobrze, żebyś trochę dłużej pomieszkała w pensjonacie.

Już zapłaciła, już miała wolne ręce, więc nareszcie mogła skoncentrować się na odpowiedzi.

– Dla kogo dobrze? – zapytała ostrym tonem.

– Należy ci się odpoczynek.

– W pensjonacie bym nie odpoczęła. Oboje wiemy dlaczego. Bo ty tam jesteś.

Kasjerka, znudzona małolata z nastroszoną fryzurą koloru lawendy, zastrzygła uszami.

– Hm, może brak odpoczynku ma też swoje dobre strony – zaryzykował, Tori jednak pokręciła głową.

– Jeszcze jedna taka noc i coś mi się ubzdura. Jake, żadnych zobowiązań. Potrzebne ci one?

– Hm... Nie. – Co miał odpowiedzieć?

– Sam widzisz. – Układała mu na rękach zakupy, kończąc poduszką, którą wsunęła mu pod brodę. – Przyciśnij, bo się rozsypią po całym parkingu. Dasz radę?

– Oczywiście.

– No to idziemy.

Koniec poważnej rozmowy.

Po drodze poruszali neutralne tematy, aż dojechali do jej nowego domu. Nie mógł się nadziwić, co można osiągnąć kolorem. W ciągu kwadransa nijakie wnętrze kontenera przeistoczyło się w przytulne mieszkanie. Na zewnątrz było to w dalszym ciągu pudełko od butów, ale gdy się do niego weszło, człowiek od razu się uśmiechał. Właśnie tak Jake wyobrażał sobie dom Tori.

Nawet Rusty potrafił to docenić. Gdy weszli, spoglądał na nich smętnie, leżąc na beżowej wykładzinie. Teraz ułożył się między dwiema amarantowo–niebieskimi poduchami, a Tori nakryła jego kaleki lewy bok fioletowym kocym. Chyba jest bardzo zadowolony, pomyślał Jake.

– Zasłony zajmą mi trochę czasu – oznajmiła, spoglądając nieprzychylnie na beżowe żaluzje. – Może to daje poczucie prywatności, ale długo tu nie powisi. Co teraz? – Spojrzała na zegarek. – Mam pół godziny. Kwiaty!

– Kwiaty?

– Niedaleko stąd jest ogrodek. Jedziesz?

Zobaczyć, jak Tori kupuje kwiaty? Bezcenne.

Tym razem Rusty zdecydował się im towarzyszyć. U ogrodnika Tori w trzy minuty wybrała sześć żonkili, dwadzieścia cztery tulipany i ze sto gerber, po czym oznajmiła, że to koniec.

Ona jest taka odważna, pomyślał, gdy wstawiali rośliny do auta. Niesamowita. Z każdą chwilą było mu coraz trudniej pogodzić się z myślą, że pomimo tylu zmian Tori zamieszka w pudełku od butów.

Ale ona się uparła i nic nie zmieni jej decyzji. Czując na sobie jego spojrzenie, uśmiechnęła się, ale podejrzewał, że sporo ją to kosztowało.

Wkrótce wróci do Nowego Jorku. Nie pomoże jej. A nawet gdyby mógł jej pomóc, to oznaczałoby zaangażowanie, a to nie w jego stylu.

Na pewno? Musisz jeszcze dużo przemyśleć. Ale na razie mógłbyś coś dla niej zrobić, jakoś jej pomóc.

Nagle doznał olśnienia. Mijali akurat jakąś bramę, przed którą stała tablica z ogłoszeniem. Zahamował.

– Dlaczego stajemy?

– Zapomnieliśmy o czymś, co przyda się tobie i Rusty'emu. – Cofnął się, po czym wjechał na podjazd. Tori zauważyła ogłoszenie: „Szczenięta golden retrieverów”.

– Ale my nie...

– Owszem, tak. – Poznał ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że trafił w dziesiątkę. – Miałaś cztery psy. Przez pół roku ty i Rusty byliście sami. To wystarczająco długo. Moi znajomi mają psy, więc wiem, jak ważną rolę odgrywają w ich życiu. Znam kilka goldenów. One potrafią się uśmiechać. W twoim nowym miejscu można trzymać zwierzaki, więc czemu nie? – Widząc jej posmutniałą twarz, ujął ją pod brodę. – Tori, musisz mieć coś ciepłego,

radosnego i nowego. Coś bez tragicznej przeszłości. Gdyby Rusty go nie polubił, gdybyś ty go nie polubiła, to trudno, ale się zastanów...

Nie rozchmurzyła się, a on nie wiedział, co powiedzieć. Minionej nocy postawiła jego świat na głowie. Gdyby miał więcej czasu... Jeżeli to w ogóle możliwe, to może udałoby się jej zburzyć mur, którym się otoczył.

Na razie jednak nie zostawi jej samej sobie, pomimo barw i kwiatów, w tym kontenerze. Kontener. Paskudne słowo. Ta kobieta potrzebuje ciepła domowego. To pojęcie było mu obce, dla niego dom był tam, gdzie mógł się bez większego trudu przespać, ale czuł, że dla Tori to coś znacznie więcej.

– Ta noc dużo zmieniła – zaczął. – Podobno seks dla mężczyzny to nie ważnego, może i tak bywa, ale tej nocy było inaczej. W jakimś sensie, nie potrafię powiedzieć w jakim, czuję się z tobą związany, jakbyś się stała częścią mnie. Może to głupie, ale tak czuję. Nasze drogi życiowe się nie schodzą. Jeszcze nie. Ale nie mogę wyjechać, nie pozostawiając wam czegoś od siebie.

Przeniósł wzrok na ogłoszenie.

– Czy mogę wam podarować szczeniaka? – Żebyśmy w środku nocy mogli przytulić się do szczeniaka zamiast do ciebie?

– Wcale nie. – Zawahał się, po czym uśmiechając się, musnął ją wargami. – Ale jak chcesz, możesz udawać, że to ja. Podobno retrievery słyną z pocałunków z językiem.

–Fuj!

Napięcie między nimi zelżało. Jakby byli przyjaciółmi oraz kochankami? Przyjaciółmi zamiast kochankami. Tori, przygryzając wargę, spoglądała to na ogłoszenie to na niego. To nie takie proste, pomyślał, stracić trzy ulubione psy, a potem zdecydować się na kolejnego.

– Mam go nazwać Jake?

Zamrugął zdziwiony.

– Jake?

– Duży, ciepły i trochę kudłaty.

– Ej!

– To pasuje.

– Nie jestem kudłaty.

– Ale mógłbyś być. Gdybyś trochę się rozluźnił i zapomniał, że jesteś milionerem z Manhattanu.

– Nie jestem milionerem.

– Rob mówi, że jesteś.

– Rob za dużo mówi, jestem tylko...

– Lekarzem, który robi, co potrafi. – Spowaźniała. – Twoje umiejętności zasługują na uznanie. Uratowałaś Doreen życie. I pomogłeś Glendzie. Jesteś wspaniała.

Pierwszy raz usłyszał taki komplement z ust takiej kobiety. Nagle poczuł, że musi pocałować ją po raz drugi, ale tym razem porządnie, ona jednak ze zmarszczonym czołem wpatrywała się w ogłoszenie.

– Może... – powiedziała z namysłem. – Jeszcze nie wyjeżdżam do pracy. Szczeniak by na tym skorzystał, a Rusty'emu na pewno by to dobrze zrobiło.

Zapomnij o pocałunku i skup się na tym, co ważne.

– To najlepszy czas na szczeniaka. Chętnie ci go kupię.

– Ja zapłacę!

– Nie. – Chwyił ją za ramiona tak, by na niego spojrzeć. – To prezent od milionera z Manhattanu.

Uśmiechnęła się nieśmiało.

– Gdyby to miał być prezent od milionera z Manhattanu, to powinien mieć obrożę wysadzaną diamentami.

- Czułby się zniewieściały.
- Wobec tego zapytajmy, czy mają dziewczynkę
- zaproponowała, szeroko się uśmiechając, i wysiadła.
- Zamiast Jake'a będzie Jackie. Golden retriever, który nie będzie kręcił nosem na brylanty. Jake albo Jackie, zobaczymy, co mają.

Nie wybrała Jake'a, lecz suczkę, a do tego najmniejszą z miotu. To raczej Rusty ją wybrał, a Tori zaakceptowała jego wybór. Mógł to przewidzieć. Było sześć szczeniaków takiej samej wielkości, jeden dużo od nich większy, oczywiście samiec, który przez cały czas usiłował zaganiać swoje rodzeństwo i wpadał w szał, gdy jakiś maluch nie był mu posłuszny. Ósma była maleńka suczka, która dzielnie włączała się do wspólnych szaleństw i za każdym razem obrywała. Rusty bez namysłu ruszył do niej.

– Zamierzaliśmy ją uśpić – powiedziała właścicielka, gdy Tori oboje wzięła na ręce. – Mąż tak zdecydował, bo najmniejsza, ale tak energicznie dopychała się do matczynego cycka, że nie miałam serca. Ale ona jest felerna. Lewe ucho jej stoi, a nie powinno, i ogon ma za krótki. Już teraz to widać, a im będzie większa, tym bardziej będzie się to rzucało w oczy. Tanio ją sprzedam.

Nie myśleli o pieniądzach. Jake patrzył, jak Tori tuli pieska, jak tuli dwa pieski. Będzie dobrze, pomyślał.

Jego uwagę odciągnęły wydarzenia w kojcu: największy szceniak ganiał w kółko, by otoczyć rodzeństwo, ale jedna z sióstr się wymknęła. Gdy rzucił się za nią w pościg, reszta towarzystwa się rozpierzchła, więc musiał zacząć od nowa. W jego ślepkach malował się dziki zachwyty.

Nie znalazł się na psach. Matka nie lubiła psów, a później on pracował od rana do wieczora. W jego życiu nie było miejsca dla psa, ale patrząc na Tori, pomyślał...

– A może chciałabyś dwa szczeniaki? – zapytał. – Ten energiczny osiłek jest niesamowity.

– Dwa? – jęknęła, ledwie utrzymując dwa szamoczące się psy. Usiadła na podłodze, gdzie natychmiast zajęła się nią rozbrykana sfora. – Nawet jeden to za dużo.

Śmiała się i płakała na przemian. To dla niej wielka sprawa, pomyślał. Straciła trzy psy w dramatycznych okolicznościach, straciła o wiele więcej. Dla niej to nowy początek, nauka kochania od zera...

– To zakrawa na zdradę – szepnęła, przytulając suczkę.

– Kiedyś należy rozstać się z żalobą – powiedział cicho. – Tori, dla ciebie stanęły wszystkie zegary, jak u Audena, ale pora, żeby znowu zaczęły chodzić. Nie warto, żeby stały do końca twojego życia. A jeśli oznaczałoby to naukę kochania...

– I kto to mówi? Facet, który nie chce kochać.

– Skąd... ?

– Zgadłam – szepnęła, uśmiechając się przez łzy. – Domyślam się, że rodzice tak ci namieszali w głowie, że do tej pory nie możesz się pozbierać. Może byś sobie sprawił szczeniaka?

– Jestem w robocie przez czternaście godzin na dobę – mruknął. – Nie posadzę takiego łobuza w rogu sali operacyjnej i nie każę mu czekać, aż skończę zabieg.

– Nie posadzisz – powiedziała smutno, ale kąciki warg lekko jej zadrzały. – W przeciwieństwie do mnie. Jako weterynarz mogę je zabrać do pracy. Z dwoma sobie poradzę.

– Nie z trzema? – Zerknął na największego rozrabiakę, mistrza zaganiania.

– Wyobrażasz sobie takiego olbrzyma w moim pudełku? – Powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem. – Moje podwórko jest nie większe od chusteczki do nosa. Nawet jeden pies to głupi pomysł. Chyba nie powinnam... Przykucnął wśród psów, tak by widzieć jej twarz.

– Sprawisz mi wielką radość, zgadzając się, żebym! kupił ci te szczeniaki – powiedział. – Proszę, pozwól...

Uśmiechnęła się przez łzy.

– Z okazji urodzin?

– Kiedy masz urodziny?

– Dzisiaj.

– Żartujesz.

– Tylko trochę – przyznała. – Ale tak się czuję. Urodziny. Wczoraj było tamto życie, a dzisiaj zaczynam nowe. Jake, ta noc...

Właścicielka psów czekała. Postawna kobieta w kaloszach i roboczym kombinezonie. Czekwała, aż się zdecydują. To nie pora na rozmowę o minionej nocy.

– Miniona noc była cudowna – powiedział. – Dzisiejsza...

– Dzisiejszej nie będzie – wyrzuciła z siebie, wypuszczając szczeniaka. Przewodnik stada, szcękawszy radośnie, natychmiast zaczął go zaganiać do reszty sfory.

– Jake, wczorajsza noc była ostatnia. To był wspaniały dar. Poczułam, że żyję. Masz rację, pora zacząć liczyć czas od nowa... Tak, Jake, z radością przyjmę ten urodzinowy prezent. Tę małą z klapniętym uchem. Nazwę ją Itsy, jak w tej piosence, którą śpiewała mi mama.

– Mój brytan mógłby się wabić Bitsy.

– Rozumiem. – Uśmiechnęła się z lekkim przekąsem. – Jeden szczeniak, nie więcej.

W jego umyśle panował taki zamęt, że nie wiedział, od czego zacząć. Interesy, pomyślał trzeźwo, po czym pospiesznie sięgnął po kartę kredytową. Życie tej kobiety legło w gruzach i ona zaczyna teraz od nowa, a on wraca na Manhattan i być może już nigdy więcej jej nie zobaczy. Zrobiło mu się bezgranicznie przykro.

Nonsens, pomyślał. Przecież on się nie angażuje, a już na pewno nie z lekarkami weterynarii, które mieszkają na drugiej półkuli. I nie romansuje z kobietami, w których mógłby się zakochać.

Obserwował emocje malujące się na jej twarzy, gdy mała Itsy starannie obsypywała ją psimi pocałunkami. Widział niesforny kosmyk włosów, który wymknął się jej spod frotki. Jeszcze kilka godzin wcześniej zanurzał palce w tych włosach, miękkich jak jedwab...

– Biorą ją państwo czy nie? – niecierpliwiła się właścicielka.

– Tak, chyba tak – odparł, nie spuszczać wzroku z Tori. – Prawda, kochanie?

Gwałtownie zatrzepotała powiekami.

– Kochanie?

– To taka figura retoryczna – wyjaśnił pospiesznie. – Prawda, hm... ?

– Tori. Doktor Nicholls – wybawiła go z zakłopotania. – Uśmiechała się jak kobieta, która posiada swojego mężczyznę, która zna go na wylot...

Stary, twoje miejsce jest w Nowym Jorku, rozpaczliwie usiłował uciszyć zamęt w głowie. Pamiętaj, takie związki zawsze się kończą. Matka wpajała ci to na każdym kroku. Polegaj wyłącznie na sobie. Bo jak się zakochasz, to zgłupiejesz. Ale matka okłamała go w sprawie ojca, więc w innych sprawach też mogła kłamać.

Ale może tym razem mówiła prawdę? Głupio byłoby porwać teraz Tori w ramiona i...

I co? Zawieźć ją do Nowego Jorku? Nie wyobrażał jej sobie w swoim wymuskanym apartamencie. Musiałaby wyprowadzać Itsy do Central Parku.

Znają dwa dni. Zdaje się, że w tej kwestii matka miała rację. Człowiek się zakochuje i głupieje.

Skupił się na płaceniu. Za to Bitsy, szczeniak alfa, skupił się na jego sznurowadłach, więc właścicielka wzięła go na ręce i włożyła do kojca. Spoglądał na nich przez pręty z miną skazańca.

– Znajdzie się na niego chętny? – zapytał Jake.

– Oczywiście. – Właścicielka nie miała wątpliwości. – Jest najsilniejszy z całego miotu. Ale myślę, że go sobie zatrzymamy jako reproduktora. Niech pan popatrzy na ten kościec...

Jaki kościec? Jake widział tylko oczy, które spoglądały na nich z wyrzutem. Przeniósł wzrok na Tori. Tuląc Rusty'ego i Itsy, tęsknie wpatrywała się w Bitsy'ego.

– Nie mogę – szepnęła.

To fakt, pomyślał. Muszą stąd wyjść jak najszybciej, bo inaczej wyjadą z całym miotem.

– Tylko Itsy – powiedział.

– Tylko Itsy. Dwa wystarczą. Tori ma już dom, ma psy, podejmie nową pracę, zacznie nowe życie... a on wróci do Nowego Jorku.

Potem pojechali do sklepu po wyprawkę dla Itsy, by w końcu dotrzeć do jej pudełka od butów, gdzie od razu udzielili dwóch medycznych konsultacji. Okazało się, że w Pudełkowie już wszyscy wiedzą o przybyciu doktor Nicholls, bo pod jej drzwiami czekali na nich owczarek z wbitym w łapę źdźbłem trawy oraz corgi ze wzdęciem.

Ku zaskoczeniu Jake'a Tori od razu się nimi zajęła. Podczas gdy Itsy i Rusty zapoznawali się ze swoim miniaturowym ogródkiem, ona, siedząc na

schodkach, pincetą wyjęła źdźbło z łapy owczarka, a właścicielowi corgi doradziła, gdzie ma kupić węgiel oraz by dodawał mu łyżkę jogurtu do karmy.

– Nie opędzisz się od klientów – zauważył Jake, pomny słów matki, która nienawidziła pacjentów ojca.

– Ja to lubię. Dobrze się wśród nich czuję.

Pomyślał o swojej pracy, o dystansie, jaki zawsze stara się zachować. Pracował wiele godzin dziennie, ale żeby zgłosił się do niego ktoś poza godzinami pracy, sąsiad albo ktoś z siłowni? Nie do pomyślenia.

To inna rzeczywistość, nie jego.

Tori też jest z innego świata. Ale czy potrafi ją zostawić? Może nie potrafi.

Kilka minut po piątej wrócili po Roba i Glendę.

– Trochę się spóźniliśmy – powiedziała Tori, ale gdy Glenda zobaczyła Itsy, żadne usprawiedliwienia nie były potrzebne.

Glenda promieniała, bo nowe środki przeciwbólowe okazały się skuteczne. Wyraźnie się odprężyła, tym bardziej że operacja Doreen przebiegła bez komplikacji. Rozmawiała już z chirurgiem, a Rob obiecał, że wieczorem zawiezie ją na widzenie z siostrą.

– Ten rehabilitant jest cudowny – zachwyciła się. – Powiedział, że najpierw musimy zapanować nad bólem i że on będzie ze mną pracował tylko do granicy bólu. Spisał ćwiczenia, które mam robić w domu, ale i tak mam przyjeżdżać do niego codziennie, bo jeśli zaraz się za to nie weźmiemy, to może dojść do poważnej niewydolności – relacjonowała z błyskiem w oku. – Wygląda na to, że obydwie wyzdrowiejemy. Doktor Fulton przykazała nam namówić cię, żebyś tu został, bo w dolinie brakuje anestezjologa. I jeżeli wrodziłeś się w ojca, to na pewno jesteś świetny.

Czuł na sobie ich wzrok, wszystkich: Glorii, Roba, Tori, a nawet Rusty'ego oraz Itsy.

– Nie.

Glenda posmutniała, a Tori...

– Musimy wracać do pensjonatu – rzekł pospiesznie, na co Glenda, pojawiający aluzję, zainteresowała się Itsy.

– Itsy zamieszka w pensjonacie? – zapytała.

– Jadę do pensjonatu tylko po auto – wyjaśniła Tori.

– Przeprowadziłam się do nowego domu. Będziemy tam mieszkać we troje, Rusty, Itsy i ja.

– O, wielka szkoda. – Glenda spojrzała na Jake'a z wyrzutem. – Bo w Manwillinbah Lodge z Itsy byłoby weselej.

– A gdzie jest wasz Pickles?

– W hotelu dla kotów przy James Street, ale...

– Jedźmy po niego. – Tori posłała im promienny uśmiech. – Rob mówi, że tam nie wolno trzymać zwierząt, ale to Jake jest właścicielem. Twoja macocha, Jake, stworzyła ośrodek dla bogatych, ale to już historia. Teraz powinni tam dochodzić do siebie potrzebujący. Nawet jak wszyscy już zapomną o pożarze, to na przykład zawsze będą ludzie świeżo wypisani ze szpitala, którzy przed powrotem do domu powinni mieć okres przejściowy. Dla takich ludzi ich zwierzaki są bardzo ważne.

– Przytuliła Rusty'ego i Itsy. – Jak dla mnie.

– Gdyby nasz kotek był z nami... – westchnęła Glenda. Jake się zastanawiał, co czuje.

– Jake, można by tam zorganizować gabinety – ciągnęła Tori – gdzie przyjmowałiby lekarze, fizjoterapeuci, psychoterapeuci, co zechcesz.

– To by się wiązało z zatrudnieniem personelu. – Rozwazał w myślach jej wizję.

– Stać cię na to. – Uśmiechnęła się. – Wybrałam najtańszego szczeniaka.

– To prawda – mruknął roztargniony. Manwillinbah Lodge jako ośrodek rehabilitacyjny?

Nieźły pomysł. Rob lubi wielkie wyzwania.

Może i jemu samemu by się to spodobało, przemknęło mu przez głowę, ale pospiesznie uciszył tę myśl.

– Niewykluczone. – Miał nadzieję, że je zniechęci, ale nic z tego.

– Fantastyczny pomysł – entuzjazmowała się Glenda.

– Stale byśmy tam przyjeżdżały.

– Zauważcie – wtrącił Rob – że jeszcze się nie zgodził, żebyśmy odebrali Picklesa z hotelu.

– Masz uczulenie na koty? – zaniepokoiła się Glenda.

– Jak twoja macocha?

Nie znał swojej macochy.

– Nie.

– Lubisz koty?

– Tak, ale...

– Wobec tego nie widzę żadnego problemu – stwierdził Rob.

– Mógłbyś sobie kupić kota. – Tori ochoczo podjęła ten wątek. – Jake powiedział, że nie może mieć psa, bo przez czternaście godzin dziennie jest w pracy.

– Synu, to prawda? – przeraziła się Glenda. – To zdecydowanie za długo.

– Faktycznie, ale kota mógłby mieć – drażyła Tori.

– Nawet dwa. Koty są piekielnie niezależne, ale mimo to witają swojego pana, kiedy wraca z pracy.

– Powinieneś mieć kogoś. – Glenda zerknęła na Tori, ale widząc jej rumieniec, szybko się poprawiła. – To znaczy... jakiegoś zwierzaka.

– Chyba wiem, komu niedawno okociła się kotka – rzuciła Tori.

– Nie.

– Dlaczego?

– Jak będę chciał kota, to go sobie sprawię w Nowym Jorku.

– Prawda, ale czy to zrobisz?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo w moim życiu nie ma miejsca na coś takiego.

– Ani na nikogo? – Glenda przestała się krępować.

– Ani na nikogo – odparł. – Pani Matheson czeka z kolacją. Musimy wracać.

Dręczą go jakieś demony, pomyślała, siedząc na miejscu pasażera z oboma psami na kolanach.

Nie uszło jej uwadze, że nie mógł oderwać wzroku od szczeniaka, który nie ustawał w wysiłkach, by podporządkować sobie rodzeństwo. W jego spojrzeniu dostrzegła... tęsknotę. Podobnie patrzył na nią. Jakby miał przed sobą coś upragnionego, ale nieosiągalnego.

Hm, ona czuje podobnie, a nawet tak samo.

Odebrali Picklesa z hotelu. Nie ukrywał zadowolenia. Przez kratki w klatce spoglądał na psy z miną, która mówiła, że jeśli taka ma być cena wolności, to dzielnie to zniesie. Ale psy miały odjechać z Tori do nowego domu.

Miała nieodpartą chęć spędzić jeszcze jedną noc w Manwillinbah Lodge, ale gdy spojrzała na ściągnięte rysy Jake'a, uznała, że byłaby to jedna noc za dużo.

Być może już miniona noc była tą jedną nocą za dużo... ale tego nie planowali. To się po prostu stało i do głębi nimi wstrząsnęło

Pani Matheson wyszła im naprzeciw i od razu przyłączyła się do chóru namawiających ją do pozostania.

– Nie mogę. – Zapewne zabrzmiało to nieuprzejmie, ale Tori była bliska łez. Wcisnęła psy w ramiona Jake'a, po czym poszła po swoje rzeczy. Gdy wróciła, zastała tylko Jake'a, który czekał, trzymając na rękach Itsy. Rusty siedział u jego stóp.

Nie wygląda jak milioner, pomyślała. Wygląda bardzo sympatycznie. Jake.

Wstawiła rzeczy do bagażnika i wzięła od niego Itsy. Razem z Rustym włożyła ją do skrzynki na tylnym siedzeniu. Gotowe.

– Jake, dziękuję – szepnęła, podając mu rękę.

Absurdalny gest. Przecież leżała w jego ramionach, a on całował ją tak, jakby jej pragnął... była jego kobietą.

To nie ma nic do rzeczy, pomyślała, ale, oczywiście, pozwoliła się pocałować.

Wcale go nie pragnie, ale na chwilę, no, na kilka chwil, mu ulegnie. Gdy w końcu wypuścił ją z objęć, brakowało jej tchu... Czowała, że nie potrafi odejść.

Jake chyba też nie mógł się na to zdobyć.

– Zamieszkaż ze mną na Manhattanie – powiedział, zniżywszy głos.

– Z tobą? Na Manhattanie?

– Tori, to, co jest między nami...

– Co to jest?

– Coś, co mi mówi, że cię pragnę.

O co on ją prosi? Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

– Tori, nie wiem, co się ze mną dzieje. – Przytulił ją. – Pierwszy raz czuję coś takiego. To mnie kompletnie zaskoczyło. Ale teraz... Za tydzień mam się stawić do pracy. Mam od ciebie odejść?

– Myślę, że... nie musisz wyjeżdżać. Masz tu dwa domy.

– To jest świat mojego ojca, nie mój. – Nieoczekiwanie odzyskał pewność siebie, nawet był trochę na nią zły z powodu takiej sugestii. – Jestem anestezjologiem w renomowanym szpitalu uniwersyteckim. Jestem dobry w tym, co robię. Ciężko na to pracowałem. Ale ty i ja...

– Ty i ja – cedziła te słowa. – Ty i ja? To znaczy „my”, tak? Jake, w twoim życiu nie ma miejsca dla szczeniaka, a ty prosisz mnie...

– Wielu lekarzy ma żony.

Żony. Zabrzmiało to jak groźba, a jej zrobiło się bezgranicznie smutno. Wielu lekarzy ma żony. Oświadczył się jej? Też mi pomysł.

– Te żony lekarzy... nie muszą mieć dużego podwórka?

Ściągnął brwi.

– Co ty? Nie to powiedziałem.

– Więc co chciałeś powiedzieć? Prosisz mnie o rękę?

– Nie wiem – wybuchnął. – Nigdy nie myślałem o ożenku. Ale to, co do ciebie czuję...

– Uważasz, że to moja wina?

– Nie mówię o twojej winie.

– Nie mówisz, ale wcale tego nie chcesz. Nie podoba ci się to, co czujesz.

– Nie umiem udawać. Nie miałem zamiaru...

– Jasne, że nie miałeś, więc nie oświadczaj mi się wbrew sobie. – Była zła. – Chcesz mnie wcisnąć do swojego planu dnia między pracą a snem? W mieście, w którym nie mam nikogo bliskiego? Jak możesz mi coś takiego proponować?!

– Możemy zabrać Rusty'ego i Itsy. Kupilibyśmy większe mieszkanie. – Przeganiał włosy palcami, a ona wyczuła, że tego nie przemyślał. Że te słowa same mu się wyrwały i dopiero teraz się zastanawia, jak miałoby to wyglądać. – Doszlibyśmy do porozumienia.

– Nie interesują mnie porozumienia – zachnęła się, kipiąc ze złości. Wymyślił sobie, że ona mu się podoba, więc zabierze ją do siebie jak szczeniaka ze sklepu ze zwierzętami bez żadnego przygotowania. Wielu lekarzy ma żony. Co to ma znaczyć?! – Jake, zajęłabym w twoim życiu jakieś miejsce, ale w twoim życiu nie ma takiego miejsca. – Czowała, że ma rację, mimo że bardzo ją to bolało. – Moje miejsce jest tutaj, moje życie jest tutaj, a nie w Nowym Jorku, gdzie siedziałabym w jakimś obskurnym mieszkaniu, czekając, aż wieczorem przyjdiesz do domu.

– Moje mieszkanie nie jest obskurne.

– Jakiego jest koloru?

– Szarego.

– Nie mam więcej pytań..

– Tori, to nie ma sensu.

– Ani trochę – przyznała, czując, że odeszła jej cała złość, bo zrozumiała, że on jest rozdarty tak jak ona. – Wiem, że czujemy do siebie to samo, że znaleźliśmy kogoś wyjątkowego. To nieprawda. To była... przygoda. Spadło to na nas jak grom z jasnego nieba. Ale jak się błyska, to człowiek ucieka, żeby go nie poraziło. Jake, ty nie chcesz być częścią mojego życia, a ja

nie wyobrażam sobie, żebym potrafiła być częścią twojego. Więc lepiej zamknijmy ten rozdział.

Upłynęło kilka chwil, nim ochłonęli.

– Jak chcesz... – odezwał się.

Wcale tego nie chcę, pomyślała. Czego chcę?

Chciała, żeby ją porwał w ramiona i poniósł w jasną szczęśliwą przyszłość. Ale nawet nie miał ogródka dla psa. Czy w takim miejscu jest szansa na szczęście?

– Musimy się rozstać.

Długo patrzył jej w oczy, aż w końcu przytaknął.

To jest Jake, pomyślała. Mężczyzna, którego kochała minionej nocy, i nadal mogłaby kochać. Mogłaby nawet mu zaufać. Miejsce złości zajął żal, że kiedy indziej, w innym miejscu, mieliby szansę.

– Żegnaj – rzekł cicho, a ona pomyślała, że się nie rozplacze, ale gdy się uśmiechnął, odechciało się jej płakać.

Dzięki Jake'owi w jej życiu nastąpił przełom. Poruszona musnęła go wargami.

– Żegnaj, Lancelocie.

– Lancelot?

– Zjawileś się, rycerz bez skazy, kiedy najbardziej cię potrzebowałam.

– Rycerz bez skazy? – oburzył się.

– Tylko przez dwa dni – pocieszyła go. – A ja byłam damą w tarapatach. Ale teraz już nią nie jestem. Dzięki tobie, Jake. Jedź do Nowego Jorku, do pracy. Myślę, że na Manhattanie też znajdą się jakieś damy w opalach.

– Podejrzewam, że tam większość kobiet potrafi sama się ratować.

To jej się nie spodobało. Wyprostowała się i odezwała bardziej stanowczym tonem:

– Nigdy cię nie zapomnę. Na pewno sama bym się w ratowała, ale było o wiele przyjemniej, gdy ty mnie ratowałeś. Bardzo ci dziękuję. Przykro mi, że nie mogę pojechać z tobą na Manhattan, przykro mi, że nie mogłam kupić Bitsy i że nie masz ogródka, ale oboje mamy swoje życie. – Uśmiechnęła się, choć nie było to wcale łatwe, po czym wsiadła do samochodu i przekręciła klucz w stacyjce.

– Żegnaj, Tori.

Stał na parkingu i patrzył, aż jej auto zniknęło mu z oczu. Pozwolił jej odjechać. Nie miał wyjścia.

Poprosił ją, żeby była z nim, ale odmówiła. Czego oczekiwała? Że on zostanie tutaj?

Przypomniało mu się, jak w Pudełkowym Miasteczku przyjmowała czworonożnych pacjentów. Miejscowi jej potrzebują. Oczekują, że pomoże im o każdej porze.

Jego życie jest poukładane. Takiego chaosu by nie zniósł. Ale gdy się odwrócił, spostrzegł, że na werandzie stoi Glenda.

– O Boże – wyszeptała, a on pomyślał, że starsza pani to rozumie.

Jakim cudem? Glenda go nie zna. Znała jego ojca. Oraz tę społeczność. O nie, pomyślał. Jak matka to określiła? Ta społeczność każdego podstępnie wciąga.

Jego miejsce jest na Manhattanie, nie tutaj.

– Kolacja na stole – powiedziała Glenda. – Czekamy na ciebie.

Niech czekają, pomyślał.

– Czekamy – powtórzyła Glenda, a on, zrezygnowany, ruszył za nią.

Kolacja jest okej, ale nie reszta jego życia.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Kupiła maszynę do szycia i uszyła zasłony. Tak, to jest tymczasowe lokum. Kiedyś odbuduje dom w górach albo sprzeda działkę i kupi coś innego, ale na razie nie jest w stanie podjąć takiej decyzji.

Szycie działało na nią terapeutycznie. Podobnie jak brak zwierząt, które ucierpiały w pożarach. Jak i to, że mogła spokojnie pomyśleć o Jake'u.

Wmawiała sobie, że on jest tylko wspomnieniem o cudownym facecie, który pomógł jej stanąć na nogi, poznanym podczas pięciominutowej randki, która przekształciła się w dwudniowy romans. Ale na to wspomnienie za każdym razem się uśmiechała.

Powinna poszukać pracy zamiast siedzieć w domu i rozmyślać o Jake'u.

Nie rozmyślała o nim, ale upajała się tym, co się wydarzyło. Oraz tym, jak ją to odmieniło.

Tego przedpołudnia szyla przez całą godzinę. W końcu uznała, że to wystarczy, czując, że chętnie by się zdrzemnęła. To dlatego że przestałam się stresować, pomyślała, kierując się z Rustym i Itsy w stronę łóżka. To jeden z powodów, dla którego jeszcze nie przyjęła żadnej propozycji pracy.

– Dobraliśmy się – mruknęła pod adresem psów.

Rusty uwielbiał szaleć z Itsy, a Tori uwielbiała ich obserwować. Po takiej zabawie oba były wyczerpane, podobnie jak ona.

– Chyba jesteśmy z tego samego miotu – mruknęła, gdy psy układały się w nogach łóżka.

Spała, śniąc o Jake'u.

Powinien już o niej zapomnieć, a przynajmniej nie powinien tak często o niej myśleć.

Przydałyby mi się trudniejsze przypadki, stwierdził w duchu. Ci pacjenci są zdecydowanie za zdrowi. Ich lista była długa, a on podawał im środek uśmierzający, monitorował ich, jakby miał nadzieję, że trafi się jakieś poważne wyzwanie, ale byli stabilni, więc nie miał nic do roboty. I wtedy jego myśli ulatywały ku Tori.

Mógłby do niej zadzwonić. Albo nie.

Zadzwonił do Roba z zamiarem dowiedzenia się, jak przebiegają prace nad zmianą charakteru pensjonatu. Najpierw jednak rozmawiał z Glendą, która go poinformowała, że Doreen już wypisano ze szpitala, że obydwie czują się coraz lepiej, że ona, Glenda, już może chwytać chorą ręką, że Pickles oswaja się z nowym miejscem oraz że w pensjonacie zamieszkały jeszcze dwie nowe osoby, jedna ma kota, a druga dwa yorki.

Gdy w końcu udało mu się porozmawiać z Robem i od niechcienia zapytać o Tori, Rob odpowiedział, że jej nie widział. Że blondyna go rzuciła i że aktualnie kobiety go nie interesują. Glenda była bardziej chętna poruszyć ten temat, ale niewiele wniosła.

– Nie, kochany, my też jej nie widziałyśmy. Podobno znalazła pracę w dolinie. Zamierzamy z Doreen ją odszukać, żeby zaszczepić u niej Picklesa, ale termin jego szczepień wypada dopiero za dwa miesiące.

Super, wszystko zależy od szczepień kota, a on nawet nie zna numeru jej telefonu. Nawet gdyby go znalazł, toby nie zadzwonił, bo to by znaczyło...

Nic by to nie znaczyło. Przyjaciele i znajomi po prostu do siebie dzwonią. Sensownie byłoby ją zapytać, jak się mają Rusty i Itsy, czy już pracuje i jakie ma dalsze plany.

Chciałby to usłyszeć. Nie, wcale nie. Prosił ją, żeby przyleciała z nim do Nowego Jorku, ale ta prośba wszystko zmieniła. Jej gniew wszystko zmienił.

Zniszczył ich przyjaźń, więc on rzucił się w wir pracy i stara się o niej nie myśleć.

Tego dnia był to jego czwarty pacjent, otyły cukrzyk. Na tej podstawie można było sądzić, że zakładanie mu potrójnego by-passa będzie koszmarem, ale wszystkie jego parametry życiowe wyglądały rewelacyjnie, wszystkie monitory wykazywały normę.

Nie pozostawało mu więc nic innego, jak oddać się rozmyślaniom.

Nie była pewna, o co chodzi, gdy przyszło jej to do głowy, ale gdy to do niej dotarło, nie dawało jej spokoju.

Zaczęło się od dziwnych doznań... od senności. Dla czego czuje się taka zmęczona? I wtedy przemknęło jej to przez myśl. Próbowwała nie myśleć, ale nieskutecznie.

Za dużo myśli o Jake'u.

Wszystkie jej dokumenty spłonęły. Wraz z nimi ważne daty, a w jej pamięci powstały luki.

Wiedziała, że cierpi na to wielu pogorzalców. W ich zbiorowej przeszłości na skutek tragedii powstały wyrwy. Zaburzenie stresowe pourazowe?

Ale nazwanie tego nie pomogło. Bo coś mogło się dziać. Albo już się stało. Mogłaby zadzwonić do Susie, ale to oznaczałoby zwerbalizowanie obaw.

– Susie, pamiętasz, kiedy miałam wszczepiony implant antykoncepcyjny?

Zajrzała do internetu. „Skutecznie zapobiega ciąży przez trzy lata. Po tym terminie skuteczność spada. Następny należy wszczepić przed upływem trzech lat”.

Skuteczność spada...

To chyba jeszcze nie pora na wymianę. Byłaby tak durna? A jeśli... ?

Nie zadzwoniła do Susie. Problem z przyjaciółką, która jest lekarką, polega na tym, że lekarka jest jednocześnie przyjaciółką. Zaczną się pytania.

Lepiej poczekać.

Trzy tygodnie po wyjeździe Jake'a wstała rano, wzięła prysznic i ubrała się, ale tak ją mdliło, że zrezygnowała ze śniadania. Poszła z psami na spacer, ale gdy wrócili, znowu poczuła się senna. Najpierw jednak postanowiła skorzystać z zawartości pudełeczka, które przyniosła z apteki.

Szeroko otworzyła oczy.

Cienka niebieska kreska. Wpatrywała się w nią chyba przez dziesięć minut, ale kreska nie zniknęła.

Ponowiła próbę. Znowu cienka niebieska kreska.

Oślupiała. Ale, o dziwo, wcale nią to nie wstrząsnęło. Mimo zdumienia pomyślała, że się cieszy. Być może podświadomie się tego spodziewała, jakby letarg, w jakim żyła przez kilka ostatnich tygodni, ją na to przygotował.

Wyszła na ganek i zapatrzyła się na odległe góry.

Jest w ciąży. Ma dwadzieścia dziewięć lat. Ma zawód I w każdej chwili może wrócić do pracy. Ma furę pieniędzy z odszkodowania. Może mieć dziecko.

Już ma dziecko. Jak Micki.

Niespodziewanie przed oczami stanęła jej roześmiana, uszczęśliwiona twarz siostry.

– Tori, zobacz, on kopie! Moje dziecko kopie! Przyłożyła rękę do brzucha. Moje dziecko. Rozpierała ją radość.

– Mamy dziecko – zwróciła się do psów, żeby usłyszeć, jak to zabrzmii.

Po takim kataklizmie... życie. Dziecko Jake'a.

– Muszę go o tym poinformować. – Psy słuchały jej z uwagą.

Nie wyobrażała sobie, że mogłaby się z nim nie podzielić taką nowiną.

– To dopiero sam początek – myślała na głos. – Coś się może stać.

Nie. Opiekuńczym gestem przyłożyła do brzucha obie dłonie. Temu dziecku nic złego się nie stanie.

– Więc go zawiadom. Zadzwoń wieczorem.

Nie, nie zdobędzie się na to. Brakuje jej odwagi. Jake pomyśli, że go okłamała...

– Muszę to wyjaśnić – szepnęła akurat w chwili, gdy zadzwonił telefon.

– Doktor Nicholls? Doszły nas słuchy, że nie bardzo pani wie, co ze sobą zrobić. Może ma pani ochotę przelecieć się do Stanów?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ostatni przypadek był naprawdę trudny i bardzo mu to odpowiadało. Nareszcie był zmuszony skupić całą uwagę na pacjencie. Z Jeffem Holdenem zetknął się już wcześniej. Na skutek zabiegu chirurgicznego przeprowadzonego w dzieciństwie u Jeffa wystąpiły zrosty. Jake rozpoznał go od progu. Pacjent był przypisany młodszemu anestezjologowi, ale ku swemu zdziwieniu Jake go wyręczył, przed podaniem narkozy wdając się z Jeffem w rozmowę.

– Ogląda pan bejsbol?

– Nie.

– A piłkę nożną?

Okazało się, że Jeff jest zagorzałym kibicem, podobnie jak asystujący pielęgniarz. Dzięki temu zazwyczaj pełne napięcia chwile przed operacją przekształciły się w ożywioną dyskusję o drużynie Jeffa. Przygotowując go, Jake doszedł do wniosku, że powinien poszerzyć swoją wiedzę na temat dziedziny sportu, o której do tej pory miał słabe pojęcie.

Po udanej operacji, choć ze zrostami nigdy nic nie wiadomo, pomyślał, że będzie w pobliżu, dopóki Jeff się nie obudzi. Chirurg, który ją przeprowadził, należał do gatunku szorstkich, a on był przy operacji, znał jej wynik i być może będzie mógł odpowiedzieć na pytania pacjenta.

Zmieniam się pod wpływem Tori, pomyślał, kierując się do strefy pooperacyjnej. A tam zobaczył... Tori.

Przez chwilę myślał, że śni. Ale to była jawa. Tori w zielonym fartuchu, bo inaczej by jej tam nie wpuszczono, w zielonej czapeczce, zielonych ochraniaczach na buty.

Do tego zielone oczy. Tori.

Gawędziła z kobietą, która już się wybudziła, którą za chwilę sanitariusz miał odwieźć na oddział. Obydwie się uśmiechały.

Tori podniosła wzrok, zobaczyła go i przestała się uśmiechać. Powiedziała coś do kobiety, po czym ponownie spojrzała na niego.

– Witam – powiedziała. – Doktorze, jest mi pan winny trzy i pół minuty. Jestem tu, żeby je odebrać.

Na ułamek sekundy go sparaliżowało, ale już po chwili był przy niej. Miał zamiar chwycić ją za ręce, ale ona nieoczekiwanie znalazła się w jego ramionach. Cudownie. Jej zielony czepek miał pod brodą. Chciał dotknąć jej włosów, ale była w szpitalnym stroju, a na dodatek chyba cały personel znalazł pretekst, by zjawić się w pobliżu.

Jak długo Tori jest w szpitalu? Personel o tym wiedział? Dlaczego nikt go o tym nie poinformował?

– Nie pozwoliła nam – odezwał się Brad, najstarszy z sanitariuszy, jakby czytając w jego myślach. – Tak ze dwie godziny temu pytała o ciebie w recepcji, więc Marie ją ubrała i wysłała tutaj.

– Równie dobrze mogłam posiedzieć w poczekalni. – Odsunęła się od niego na odległość ramienia, posyłając mu promienny uśmiech. Taki sam jak ten, który ściał go z nóg miesiąc wcześniej. – Ale Marie zapytała, skąd jestem, zaczęłyśmy rozmawiać i nie wiem jak, ale znalazłam się tutaj. To niesamowite, jak ludzie się budzą po operacji

– Rozmawiała z rodzicami Jodi Holloway – dodał Brad, przyglądając się jej z zainteresowaniem.

Jodi miała siedemnaście lat i zdiagnozowanego raka nerki. Od diagnozy jej rodzice praktycznie byli w histerii, ale operacja się powiodła.

– Znasz naszego mistrza – mówił Brad. – Nie jest skory do wyjaśnień. Powiedział rodzicom, że wszystko wyciął i że możliwość nawrotu jest

minimalna, po czym udał się na kolację. Jodi po narkozie wyglądała jak śmierć, jej ojciec stał bezradnie, a matka była bliska hysterii. – Przyglądał się im badawczo. – I wtedy zjawiła się twoja Tori, jakby była naszym psychologiem, tylko lepszym. Zapewniła ich, że to bardzo dobra wiadomość, że faktycznie możliwość nawrotu jest nikła. I zanim Jodi się obudziła, jej rodzice byli uśmiechnięci. Więc jeśli ty jej nie zatrzymasz, to my ją zatrzymamy. – Brad uśmiechnął się szeroko, a Jake zdał sobie sprawę, że wszyscy się uśmiechają, praktycznie cały oddział.

Co ona tu robi?

– Zostały ci dwie i pół minuty – szepnęła tak, by nikt inny nie usłyszał. – Musimy porozmawiać.

– Zaraz kończę dyżur.

– Najwyższy czas – stwierdził Brad. – Zacząłeś o szóstej rano, a dochodzi północ. Zabieraj go do domu – polecił Tori. – Jutro ma wolne, więc możesz go zatrzymać do poniedziałku.

– Nie będę go zatrzymywać. – Sprawiała wrażenie spiętej. – Mam pokój w hotelu – wyjaśniła Jake'owi. – Nie chcę przeszkadzać.

– Nie przeszkadzasz. – Czuł, że rosną mu skrzydła. Nie wiedział, po co przyjechała, ale cieszył się, że ją widzi. – Zaraz się spakuję i pojedziemy coś zjeść.

– O tej porze? Coś będzie jeszcze otwarte?

– Tori, to nie Combadeen. Nie wiem, co tu robisz, ale witaj na Manhattanie.

Poczuła się niepewnie. Jake zachowywał się tak, jakby się cieszył, że ją widzi. Powinna szybko powiedzieć, co ma do powiedzenia, ale on musiał jeszcze porozmawiać z rodziną ostatniego pacjenta oraz upewnić się, że ten

człowiek już się wybudził i rozumie, co się do niego mówi. Więc patrzyła i czekała, pozornie spokojna.

Nareszcie skończył. Uzupełnił dokumentację, przebrał się i w końcu szli do wyjścia ze szpitala.

Prowadził ją pod ramię, jakby naprawdę był zadowolony, że ją widzi, jakby była jego najlepszą koleżanką, która złożyła mu nieoczekiwaną wizytę.

– Świetnie wyglądasz – powiedział, a ona nerwowo się uśmiechnęła. Zrobiła wszystko, by ładnie wyglądać, ale teraz nie miała głowy o tym myśleć. – Po co przyjechałaś?

– Po pożarach mamy dużo dzikich zwierząt, których nie można wypuścić na wolność, a różne ogrody zoologiczne chcą je przyjąć. Zaproponowano mi, żebym towarzyszyła dwom koalom i czterem wombatom.

– Na Manhattan?

– Niedaleko.

– I mogłaś tu mnie odwiedzić. – Przytulił ją mocniej. – Co zrobiłaś z psami?

– Są w Manwillinbah Lodge. Roba spotkał zawód miłosny, więc świetnie się nadaje na opiekuna. Ale, Jake, muszę ci coś powiedzieć. Miałam zamiar zadzwonić, ale zaproponowano mi tę wyprawę ze zwierzętami...

Znajdowali się akurat w zatłoczonym holu oddziału ratunkowego, ludzie wchodzili i wychodzili, wyły syreny karetek, ale ona nie potrafiła dłużej zwlekać.

– Jestem w ciąży – powiedziała to tak głośno, że wywołało to uśmiech na twarzy sanitariusza, który pchał wózek z pacjentem.

– Dziewczyno, to cudowna wiadomość. Wróc tu za kilka miesięcy, to zobaczysz, jak sprawnie manewruję wózkiem.

Zaczerwieniła się, a Jake stanął jak wryty. Oboje przystanęli. Przeczuwała, co powie. Czekala. Nie, wcale nie wiedziala, bo bylo kilka mozliwosci.

Moze powiedziec: „Mowilas, ze jestes zabezpieczona”. Albo: „Czyje to dziecko?”. Ewentualnie: „Moje?”.

Ukladala sobie odpowiedzi na te pytania. To przeciez ona sie przeliczyła, wiec Jake ma prawo byc zly.

– Tori, nie ma sprawy – rzekl po chwili, ujmujac ja za rece. – Nie rob takiej miny. Będzie dobrze, ale musisz się tu przeprowadzić.

Zamrugala. Takiej reakcji nie przewidziala.

Musisz się tu przeprowadzić... Tym się nie przejmuj, pomyslala. To malo wazne. Najistotniejsze jest to, zeby sie dowiedzial.

– Myslam, ze jestem zabezpieczona...

– Tez tak myslalem. Najwidoczniej oboje sie mylilismy.

– Nie, bo to ja... myslalam...

– A ja zaakceptowalem twoje zapewnienia, bo cie pozadalem. – Uscinal jej dlonie. – Poznalem cie na tyle, zeby wiedziec, ze nie klamiesz. Tori, jesteśmy lekarzami i wiemy, ze jedynym stuprocentowo pewnym srodkiem antykoncepcyjnym jest szklanka wody zamiast. Co proponujesz?

– Nie wiem – wykrztusila, spogladajac mu w oczy, bo spodziewala sie ujrzec w nich chocby cień gniewu. Miala przed soba czlowieka, który otrzymawszy informacje, od razu zastanawia sie nad najlepszym sposobem rozwiazania sytuacji, uwzgledniajac jej dobro.

– Dziękuję...

– Za to dziecko?

Chyba się uśmiecha, pomyslala. To absurd. Ale czego się spodziewala? Ze będzie skakal z radości?

– Nie, za to, że na mnie nie krzyczysz.

– Dlaczego miałbym na ciebie krzyczeć?

– Bo wprowadziłam cię w błąd... I za to, że nie pytasz, kto jest ojcem.

Milczał.

– Chroni mnie instynkt samozachowawczy – odparł po chwili namysłu.

– Mógłbym tak dostać, że bym się nie pozbierał.

– Nie miałabym tyle siły.

– Ale miałybyś do tego prawo. Chodźmy na kolację. To bardzo blisko.

Nie odzywali się, dopóki nie zasiedli przy stoliku w restauracji czynnej do późna w noc, gdzie człowiek o imieniu Louis, najwyraźniej zaprzyjaźniony z Jakiem, posadził ich przy najlepszym stoliku.

– Dla mnie burger z frytkami – powiedział Jake. – Nikt ich lepiej nie robi niż Louis. Dla ciebie to samo?

– Nie.

– Grzanka? – zasugerował Louis.

Gdy się skrzywiła, przyjrzał się jej uważnie.

– Naleśniki z jagodami? – zachęcał. – W sam raz dla damy. Do tego kieliszek wina?

Przez trzy tygodnie łamała sobie głowę, jak mu to powiedzieć, i już ma to za sobą. Zrobiła to, po co przyleciała do Nowego Jorku, więc powinna być już w drodze powrotnej do domu. A nie jest. Siedzi z Jakiem w nocnej knajpie i za chwilę dostanie naleśniki, podczas gdy on oswaja się z myślą o ojcostwie.

Znowu była zła, bo chciała się cieszyć.

– Jak to się... ? – odezwał się w końcu.

– Miałam implant... – Przewidziała to pytanie, więc miała przygotowaną odpowiedź. – Po trzech latach należy go wymienić. Ale wtedy świat mi się zawalił i o tym zapomniałam. Tamtej nocy, tej, kiedy...

– Się kochaliśmy – odpowiedział jej, a ona spuściwszy wzrok, przytaknęła.

– Tak, kiedy się kochaliśmy – powtórzyła szeptem. – To było kochanie... w pewnym sensie. Myślałam wtedy tylko o tym, że cię potrzebuję... i byłam przekonana, że jestem zabezpieczona. Nawet później w ogóle o to się nie martwiłam. Ale potem nie mogłam tego sprawdzić, bo wszystkie moje papiery poszły z dymem, podobnie jak dokumentacja mojej lekarki. No cóż, komedia pomyłek. Jej rezultatem jest dziecko.

– Nasze dziecko.

– Jak chcesz...

– Nie bierzesz pod uwagę przerwania?

– Broń Boże!

– Dlaczego?

– Dziecko Micki zginęło. Wystarczy tych śmierci. Chcę je urodzić.

Louis najwyraźniej ich przejrzał, bo bez słowa postawił przed nimi talerze, na odchodnym jedynie obrzucając Jake'a spojrzeniem pełnym niepokoju.

– Przyjechałaś na Manhattan tylko po to, żeby mi to powiedzieć – stwierdził Jake.

– Niczego od ciebie nie chcę.

Kłębiły się w nim skrajne emocje: szok, niedowierzanie, poczucie ogromnej odpowiedzialności i... spora dawka strachu. Ale najsilniejsza była złość.

– Przyjmiesz moją pomoc – mruknął. – Tori, to jest również mój obowiązek. Nosisz moje dziecko, więc ja też się liczę. Zostaniesz tu.

Znieruchomiała.

– Nie. Wiesz, gdzie jest mój dom. Nie tutaj.

– Twój dom spłonął, więc teraz możesz zamieszkać gdziekolwiek.

– Chyba śnisz.

– Jedz, Tori. – Bardzo się starał nie wybuchnąć. Posłuchała go i posłusznie pochyliła się nad naleśnikami.

Chyba jej smakowały, za to on stracił apetyt.

Obserwując ją spode łba, stwierdził, że musiała zrobić w Nowym Jorku spore zakupy. Miała na sobie obcisłe dżinsy, wysokie buty oraz krótki biały żakiecik. Hm, już niedługo te dżinsy będą za ciasne, pomyślał.

Oto matka jego dziecka. Sama i w ciąży.

Powinna tu zostać, ale on nie ma prawa jej do tego zmuszać.

– Nie miałem zamiaru cię straszyć. Spojrzała na niego nieufnie.

– To dla nas zupełna nowość – zauważyła. –I przerażająca.

– Ludzkości przydarza się to od tysięcy lat.

– Ale nie mnie, nie nam. – Wzruszyła ramionami. –Powiedzenie ci tego dużo mnie kosztowało. Już jest po północy, więc na pewno jesteś wykończony. Będę tu jeszcze jutro, więc jak chcesz porozmawiać...

– Będziesz tu jutro?

– Bilet mam na pojutrze. Przedłużyłam pobyt o dwa dni. Zaplanowałam sobie, że pierwszego ci powiem, a drugi dam ci na oswojenie się z tą myślą i na to, żebyś mógł na mnie nawrzeszczyć. – Nie do końca był to żart.

Był zły, tak, ale nie na nią. Na siebie. Spotkał ją, gdy miała największy kryzys. Po co w ogóle jej dotykał?

– To się nie odstanie. Przepraszam, że narzucam ci niechcianą odpowiedzialność. Ale siebie nie żałuję, więc nie musisz mi współczuć. Jestem dużą dziewczynką i sobie poradzę. Będę kochać to dziecko. Podejrzewam, że całe Combadeen je pokocha. – Wstała. – Znajdę pod szpitalem taksówkę?

– Gdzie się zatrzymałaś? – Gdy mu powiedziała, ściągnął brwi. – W sobotnią noc cała dzielnica bankietuje. Nie wyśpisz się.

– Hotel sprawiał całkiem dobre wrażenie.

– Kiedy przyleciałaś?

– O czwartej. Niemal prosto z lotniska pojechałam do szpitala.

– Musiałaś na mnie czekać. – Z niemałym trudem porządkowałam myśli, bo widział tylko jej bladą twarz. Oto kobieta, która nosi jego dziecko. Czuł, że Tori ma ochotę uciec. – Wiesz co? Mam w salonie kanapę. Kupiłem to mieszkanie ze świadomością, że będę zmuszony spać o różnych porach, więc wybrałem spokojną dzielnicę.

– Nie chcę z tobą mieszkać.

– Tori, spróbuj mi zaufać.

Czuł, że tu chodzi o coś więcej. Wspólne rodzicielstwo? Nie, jeszcze więcej, o coś, o czym nie chciał myśleć. Jeszcze nie teraz. Nigdy?

– Wezwę taksówkę. – Zajął się konkretem, bo tylko na to było go stać. – Odwiozę cię do hotelu. Jak się okaże, że przesadzam, zostawię cię tam i spotkamy się jutro. Ale jeżeli potwierdzą się moje obawy, zgodzisz się, żebym cię zabrał do siebie? Będziemy spali w osobnych pokojach.

– I pozwolisz mi wyjechać?

– Nie mam wyboru.

– To prawda, nie masz.

Okazało się, że miał rację. Hotel był obskurny, więc pojechali do niego. Jake spał na kanapie, Tori w jego łóżku.

– Całą noc będę chodził – powiedział, gdy nie chciała na to przystać. – Równie dobrze mogę chodzić na balkonie. Kiedyś facet mógł w takiej sytuacji wypalić kilka paczek papierosów, ale dzisiaj pozostają mu tylko spaliny z samochodów.

Była tak skonana, że nawet się nie uśmiechnęła. Jake pościelił sobie na kanapie, a ona mimo zmęczenia nie mogła zasnąć w jego łóżku.

Było wygodne i bardzo szerokie. Idealne do przyjmowania gości. Musiały bywać w nim inne kobiety. Ale żadna nie została zbyt długo, pomyślała Tori, bo apartament Jake'a jest wręcz ascetyczny.

Jej kontener jest ascetyczny i w beżach, a to mieszkanie ascetyczne i w szarościach.

Może szarości są modne, ale tak samo paskudne jak beże. Zimne i bezosobowe.

Brakowało jej psów. Są w dobrych rękach, na pewno za nią nie tęsknią, ale ona nie ma nikogo... nic... co można by przytulić. Z salonu nie dobiegały żadne odgłosy. Pewnie Jake żartował, że będzie chodził. Może tak powiedział, by myślała, że się przejął.

Całkiem gładko przełknął jej rewelacje. Może to nie pierwszy raz? Niemożliwe.

Ale dlaczego ona sobie wyobraża, że doświadczenie rodzicielstwa musi jemu się wydać tak cudowne jak jej?

Wcale tak nie musi być. Ona i dziecko będą w Australii, Jake w Stanach. Będzie mu wysyłała wideo.

Ale nie z powodu, zastrzegła się. Nic z tych rzeczy. Jego przy tym nie będzie. Będzie sama, pomyślała ponuro.

Te przygnębiające myśli to przez zmęczenie spowodowane długą podróż albo przez to ohydne mieszkanie. Na dodatek na ścianach jakieś awangardowe szkice węglem. Koszmar. W świetle księżycy trudno było się zorientować w szczegółach, widziała tylko zarys jakichś upiornych postaci. Nie, to nie światło księżycy, tylko poświata tysięcy neonów.

Czy to możliwe, że tęskni za domem, będąc poza nim dopiero od paru dni?

Czy to ważne? Po prostu tęskni. Do psów, do śpiewu ptaków wśród drzew wokół domu.

I do tego, żeby od Jake'a nie oddzielała jej ściana, żeby te drzwi nie były zamknięte.

– Śpij! – mruknęła.

Łatwo powiedzieć.

Lata praktyki nauczyły go zasypiać błyskawicznie. I zawsze się to sprawdzało. Do teraz. Tori śpi w sąsiednim pokoju. Jeszcze nikt mu nie powiedział, że zostanie ojcem. Chciał...

Nie wiedział, czego chce. Pragnął Tori.

Jeżeli kobieta zajdzie w ciążę, musisz się z nią ożenić. Tak było kiedyś. Teraz też to obowiązuje?

Tori odrzuciła jego oświadczenia. Na czym polega związek? – zastanawiał się. Od czego zacząć?

Wziąć jutro wolne. Wielka sprawa. Jutro i bez tego miałby wolne. Zanim Tori wstanie, wpadnie do szpitala, a potem pokaże jej Nowy Jork.

Za to w poniedziałek czeka go wiele zabiegów i już za późno, by się z kimś zamienić. Więc w poniedziałek nie będzie mógł jej towarzyszyć. No, może mógłby wrócić do domu o jakiejś rozsądnej porze.

A w domu będzie czekać na niego żoneczka, kolacja i ciepłe kapcie? Tori miała rację, uważając, że to absurdalny pomysł. Ale coś z tym trzeba zrobić, bo ona musi tu zostać. Dlaczego?

Nagle stanął mu przed oczami obraz małego, może siedmioletniego Jake'a. Są wakacje letnie. Matka gdzieś wyjechała z którymś ze swoich

kochanków, a on spędza ten czas na Long Island, w domu dziadków niewiele różniącym się od mauzoleum. Straszliwie samotny.

Tori urodzi dziecko, ale ono nie będzie samotne. Jeśli on ma być ojcem, to musi je mieć przy sobie.

Jego dziecko? Nigdy nie myślał o sobie w roli ojca. W dzieciństwie był tak osamotniony, że uwierzył, że w dorosłym życiu ma być tak samo.

W pierwszej chwili był tak zaskoczony, że myślał jedynie o Tori, o ojcostwie pomyślał znacznie później.

Będzie miał córkę? A może syna?

W głowie mu się to nie mieściło, panował tam kompletny chaos. Przebijało się przezeń jedno: to dziecko będzie wychowywane inaczej niż on. Jego matka nie będzie mu opowiadała kłamstw o ojcu, a jego rodzice nie będą żyli na różnych kontynentach. Tori musi zostać.

A on ożeni się z matką swojego dziecka.

Spała do dziesiątej, a gdy otworzyła oczy, stał nad nią Jake. Smukły, przystojny, w garniturze. Co jest grane?

Spojrząwszy na budzik, aż jęknęła. Jake tymczasem na stoliku nocnym postawił talerzyk z grzanką, po czym przysiadł na łożku.

– Zjesz śniadanie? – zapytał z uśmiechem.

Ten facet to ojciec mojego dziecka, pomyślała. Cudownie. Ale dlaczego w garniturze?

– Po co ten garnitur?

– Byłem w szpitalu załatwić kilka spraw, żeby mieć wolną resztę dnia.

– Myślałam, że dzisiaj nie masz dyżuru.

– Zawsze jestem na dyżurze, ale teraz mam wolne. Nie wyglądasz, jakbyś miała mdłości.

Oprzytomniała.

- Mdli mnie przy gwałtownych ruchach.
- Wobec tego nie ruszaj się gwałtownie.
- Nie zamierzam.

Ułożył jej kilka poduszek pod plecami.

Boże, jaki opiekuńczy. I męski. Dziewczyno, uspokój się. Będiesz z nim tylko przez dwadzieścia cztery godziny, więc się nie podniecaj. On nie jest dla ciebie.

Mimo to pożądanie dawało się jej we znaki.

Podał jej kubek z herbatą. Miała ochotę rzucić nim o tę modną szarą wykładzinę i wciągnąć Jake'a do łóżka.

- Byłaś już kiedyś w Nowym Jorku?

Upiła kilka łyków herbaty, zanim udało się jej jako tako zapanować nad szalejącymi hormonami.

- Nie.

– A gdzie byłaś? – Podał jej grzanekę. Gdy niechcący dotknęła jego ręki, przeszył ją dreszcz.

- Hm, w Sydney – wykrztusiła.

- To twoja najdalsza podróż? – Nie krył zdziwienia.

– Uhm – mruknęła. Nie chciała jednak, by pomyślał, że nie podróżowała, bo się boi, więc poczuła się zmuszona pospieszyć z wyjaśnieniem. – Mama umarła, kiedy byliśmy dziećmi. Tato miał lecznicę, więc pomagałyśmy mu po szkole i podczas wakacji. Myślałam, że popodróżuję po studiach, ale jeszcze w ich trakcie u taty zdiagnozowano stwardnienie rozsiane. Micki z mężem mieszkała w Perth, więc nie mogła nam pomagać. Gdybym wtedy wyjechała, tato musiałby sprzedać lecznicę i na pewno serce by mu pękło. – Wzruszyła ramionami. – Gdyby ją sprzedał, teraz pewnie by żył.

– Tori, daj spokój. – Jake się uśmiechnął. – Nie rób sobie wyrzutów z tego powodu. Poza tym teraz jesteś tutaj, po raz pierwszy na innym kontynencie. Powinnaś zostać tu dłużej niż jedną dobę.

– Nie. – Ta myśl ją przerażała.

– Niekoniecznie ze mną.

– Nie chcę rujnować ci życia. – Zerknęła na drugą połowę łóżka.

– Nie mam nikogo.

– Nie o to mi chodzi.

– Rozumiem, ale teraz już wiesz. Jak chcesz spać w moim łóżku jeszcze przez miesiąc...

– Nie chcę!

– Nie?

– Nie – powtórzyła to z rozpaczą w głosie. – Muszę wstać.

– Jak chcesz spać, to śpij.

– Mam na Nowy Jork tylko jeden dzień, więc go nie prześpię.

– Powinnaś przyjechać na dłużej.

– Uczę Itsy porządku – odparła. – Nie mogę wyjeżdżać na dłużej.

– Tori...

– Nie przyjechałam tu, żeby ci komplikować życie, tylko po to żeby ci powiedzieć i wyjechać.

– Nie zgadzam się, żebyś wyjeżdżała.

– Nie masz wyboru. – Jake zamierza ją więzić aż do porodu? Ha! Postawiła go pod ścianą. Miała cały miesiąc na oswojenie się z myślą o dziecku, a on krócej niż dobę. – Wstaję, a ty potem pokażesz mi Statuę Wolności.

– Chcesz ją zobaczyć?

– I jeszcze Empire State Building i Central Park i Tiffany'ego...

– Tiffany'ego? – Nie dowierzał własnym uszom.

– To najpiękniejszy film wszechczasów. Nie podoba ci się Audrey Hepburn?

– Przepadam za nią.

Zaśmiała się, po czym się zadumała, pogryzając grzanekę. Tak, zachowa się jak prawdziwa turystka, a wieczorem być może spotkają się na kolacji. Porozmawiają o konkretach: jak często chce widzieć dziecko i jak to zorganizować, a potem ona wróci do Australii.

– Idę zmienić buty – powiedział.

– Nie musisz ze mną chodzić – zastrzegła się. – Podejrzewam, że Statuę Wolności widziałeś już kilka razy.

– Niewykluczone – przyznał – ale nie zaszkodzi znów ją zobaczyć. Za to u Tiffany'ego jeszcze nie byłem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Żeby z Empire State Building podziwiać panoramę Nowego Jorku, odstali w kolejce dwie godziny, ale warto było. Tori, jak przystało na turystkę, zrobiła dziesiątki zdjęć, a na każdym był Jake.

– To twoje miasto. Zwiedzam Manhattan Jake'a. Jake z Empire State Building w tle. Bardzo ładne.

Jakiś niemiecki turysta zaproponował, że zrobi im wspólne zdjęcie, na co Tori od razu przystała.

– Przyda się za jakiś czas – powiedziała, wręczając mu aparat.

– Dlaczego? – Gdy Niemiec szykował się do zdjęcia, Jake przygarnął ją do siebie. Żeby lepiej się komponowali. Ale przede wszystkim po to, by poczuć jej ciepło, bo jego ciało domagało się jej nieustannie.

Ona dziwnie się uśmiecha, pomyślał. Zapewne z powodu zmęczenia wielogodzinnym lotem. Czeka ją niepewna przyszłość, w pojedynkę, a ona cieszy się każdą minutą tej krótkiej wizyty. Jest taka piękna...

– To będzie fotka mamy i taty do pierwszego albumu naszego dziecka – oznajmiła.

W tej samej chwili Jake poczuł, że pożądanie ustępuje miejsca innemu doznaniu, zupełnie niezrozumiałemu. Kiedy w końcu zobaczył zdjęcie, ucieszył się, że widząc jego szeroki uśmiech, nikt się nie domyśli, że czuł się, jakby dostał obuchem w głowę. Tak się czuł.

Ta cudowna, tryskająca radością życia kobieta jest matką jego dziecka. I już jutro go opuści.

Poleci do Australii, żeby być przy porodzie? Muszę, pomyślał, gdy Tori pstrykała kolejne zdjęcia. A jeśli coś się zdarzy wcześniej? Poronienie, komplikacje. Czy w Combadeen będzie miała należyłą opiekę prenatalną?

Jak mógłby się zgodzić na jej powrót do Australii?

A może się nie zgodzić? Nie ma nad nią władzy. Połączył ich dwudniowy romans. Nie można na tym budować przyszłości. Ale...

Czuł się zagubiony.

W końcu Tori ruszyła w stronę wind. Gdy przy wsiadaniu potracił ją jakiś otyły olbrzym, instynktownie położyła rękę na brzuchu, chociaż jeszcze nic nie było widać, a on miał ochotę dać olbrzymowi w zęby.

Cisnęło mu się na usta:

– Uważaj, tam jest moje dziecko. – I jeszcze: – To moja kobieta. Każdy, kto jej dotknie, będzie miał do czynienia ze mną.

Ale, oczywiście, nikomu nie dał w zęby, bo jest dobrze wychowany i kulturalny, jest cenionym lekarzem, który w przypadku awanturujących się pacjentów uczy swoich podwładnych wyważonych reakcji.

Bo jest samotnikiem. Mimo to kipiało w nim nadal, gdy zadzwoniła komórka.

– Hunter, słucham.

– Kojarzysz panią Ian? Jej pompa morfinowa nie działa.

Zaklął pod nosem. Pani Ian była siedemdziesięciokilkuletnią Afroamerykanką z przerzutami do kości. Założył jej pompę morfinową, by złagodzić ból.

Oprócz kruchych kości pani Ian miała też artretyzm, więc doprowadzenie leku we właściwe miejsce wymagało nie lada wprawy, doświadczenia oraz sporego szczęścia. Byłby to cud, gdyby poradził sobie z tym którykolwiek z dyżurujących młodszych lekarzy.

– Poziom bólu? – zapytał, mimo że znał odpowiedź.

– Wysoki – odparła Mardi Fry, doświadczona pielęgniarka. Skoro Mardi mówi „wysoki”, to znaczy że ból jest nie do zniesienia.

– Nie mogę...

– Możesz. – Tori stała przed nim, spoglądając mu w oczy. Słyszała tylko połowę rozmowy, ale oczywiście domyśliła się reszty. – Jestem gościem nieoczekiwanym i nieproszonym, ale bardzo zadowoloną turystką. Nie waż się przeze mnie skazywać pacjenta na cierpienie. Pojadę taksówką do Central Parku. I tam się możemy spotkać, jak ci się uda.

– Tori...

– Strawberry Fields o drugiej. Albo u ciebie o szóstej – rzuciła, kierując się na postój taksówek.

Nim zdążył zaprotestować, zniknęła mu z oczu.

Kiedy ją zobaczył, spała. Jak obiecała, siedziała na ławce i drzemała w promieniach jesiennego słońca, trzymając na kolanach torebkę z obwarzankami. Dotknął jej ramienia, a ona uniosła powieki i się uśmiechnęła.

Przypomniały mu się inne randki, które musiał skrócić z powodów medycznych. Zawsze robiono mu wyrzuty, a Tori po prostu się uśmiechnęła.

– Dopiero druga – ucieszyła się. – Gratuluję. Udało się?

– Mały pikuś. – Wzruszył ramionami. – Poszło jak po maśle. – W rzeczywistości było zupełnie inaczej, ale teraz pani Ian już nie czuła bólu i spała spokojnie.

Tori badawczo mu się przyglądała, jakby domyślała się prawdy, ale nic nie powiedziała, żadnych pytań, żadnych pretensji. Kobieta jedna na milion.

– Co ci się śniło? – zapytał.

– Imiona.

– Imiona?

– Dla dziecka – odparła lekko zniecierpliwionym tonem. – Jak już tu jestem, przyszła mi do głowy Jude, ale może Elizabeth po mojej mamie?

– Nie jesteś przekonana.

– Po co? Ono jest teraz wielkości orzeszka. Czy ty wiesz, ile jest książek o imionach? Nawet gdybyś mi pomagał, to wszystkich nie przeczytamy.

– Chcesz, żebym ci pomagał?

Z namaszczeniem przełamywała obwarzanek na pół, jakby chciała go nim uhonorować.

– Żebyś się ze mną dzielił. Po to tu jestem. Chociaż muszę cię ostrzec, że jeżeli twoja matka była Gertie, to to nie przejdzie.

– Nie, nie miała na imię Gertie, ale nie chcę, żeby ktokolwiek nosił jej imię.

– Słusznie, bo była potworem – oznajmiła beztroskim tonem, poświęcając jego rodzicielce tyle uwagi, na ile zasłużyła. Co, o dziwo, podziałało na niego kojąco. – To duże ułatwienie. Możemy już iść do Tiffany'ego?

Jake znalazł się tam po raz pierwszy. Miejsce sławne, owszem, ale zdecydowanie tylko dla kobiet. Wolałby zostać na zewnątrz, ale wówczas nie mógłby obserwować Tori, a tego nigdy by sobie nie darował, więc wszedł do środka.

Portier powitał ich niskim ukłonem, a sprzedawcy przyglądali się im z pobłażaniem. Tori wyróżniała się wśród obecnych tam kobiet. Nie miała na sobie ani grama biżuterii. Nie zamierzała niczego kupić: zanurzyła się w świat fantazji.

– Ach... – szepnęła przed gablotą, w której eksponowano diademy warte bająnskie sumy. Albo dwa razy więcej, pomyślał, spojrzawszy na ceny. – Ale cudo! – zachichotała. – Wyobrażasz sobie, co by się działo, gdyby takie cacko spadło w błoto?

– Podejrzewam, że tam, gdzie bywa to towarzystwo, błoto jest nieznanne.

– Jasne – przytaknęła. – Występuje się w tym raz w roku, najwyżej dwa, a przez resztę czasu klejnot leży w sejfie. Wielka strata.

Ona patrzy na to zupełnie inaczej, pomyślał, gdy oglądała kolejne ozdoby. Sprawia jej to ogromną przyjemność, ale nie ma w jej oczach błysku chciwości.

Mimo że straciła wszystko, nie pożąda niczego.

– Popatrz na to! – Pociągnęła go za rękaw. Pochyliwszy się nad gablotką, wpadł w taki sam zachwyty.

Tak pięknego pierścionka jeszcze nie widział. Diament oszlifowany na kształt serca, a przy tym niewiarygodnie duży. Każda fasetka lśniła i mieniła się blaskiem, wokół serca pięć rubinów osadzonych w białym złocie otoczonych drobnymi diamencikami.

Rzucił się w oczy, był przesadnie duży, a na domiar złego niewiele kobiet miałyby siłę nosić go na palcu. Jego ceny nie podano.

– O kurczę. Niezły kastet. – Znowu dyskretnie się roześmiała. – Kunsztowna robota, ale... to gruba przesada. Piękny, ale bez sensu.

– Ty byś takiego nie chciała.

– Chyba oszalałeś. Co to znaczy, że bym nie chciała? Musiałabym chyba trafić na szejka, a tam, skąd jestem, szejków jak na lekarstwo.

– Czy ty w ogóle masz jakąkolwiek biżuterię? – zapytał, ale natychmiast poczytał to sobie za złe. Ogień strawił cały jej dobytek.

Przez Toby'ego, pomyślał, czując, jak znowu wzbiera w nim złość. Ale pożar buszu należy już do przeszłości. Tori się otrząsnęła, więc i on powinien przestać o tym myśleć. Znowu wypatrzyła coś interesującego.

– Ooo...

Stała przy innej gablocie, gdzie przepych zastąpiły wzory zdecydowanie skromniejsze. Tym razem drwiący uśmiech znikł z jej warg.

Wpatrywała się w motyw celtycki, plecionkę ze złota oraz srebrnej nitki wysadzaną diamencikami. W porównaniu z biżuterią, którą oglądali wcześniej, wisiołek na prostym srebrnym łańcuszku wyglądał niepozornie, ale był nie mniej piękny.

Gdy przeniósł na nią wzrok, w jej oczach dostrzegł łzy.

– Jak mojej mamy – szepnęła. – Nie taki sam, ale bardzo podobny. Nigdy go nie zdejmowała. Ale przepadł. – Uśmiechnęła się blado. – Muszę go mieć – powiedziała zdecydowanym tonem. Ledwie to powiedziała, sprzedawczyni już wyjmowała go z gablotki.

Dotknęła go drżącymi palcami.

– Poproszę – powiedziała, nawet nie patrząc na cenę.

– Tori...

Nie zwracała na niego uwagi. To dla niej namacalne wspomnienie przeszłości, pomyślał poruszony do głębi. Wiedział, co powinien zrobić od chwili, kiedy weszli do sklepu, a teraz poczuł, że nadszedł właściwy moment.

– Tori, pozwól... – Dotknął jej ręki. – Czułbym się zaszczycony, gdybym mógł ci go kupić.

– Dlaczego? – Nie kryła zdumienia.

– Jesteś matką mojego dziecka – wyjaśnił. W rzeczywistości wchodziły tu w grę różne emocje, a fakt, że Tori jest w ciąży, odgrywał drugorzędną rolę. – Muszę jakoś to uczcić – szepnął, mimo że sprzedawczyni dyskretnie się ulotniła. – Ten wisiołek przypomina ci, co straciłaś, ale czy może być też symbolem tego, co niesie przyszłość?

Spoglądała na niego przez łzy. Uśmiechnęła się, pociągnęła nosem. O matko, jemu też zbierało się na płacz. Nie, nie, nie. Co ta kobieta z nim wyrabia?

Pomocnym gestem podał jej chusteczkę.

– Prawdziwa chusteczka? – Zamrugła gwałtownie.

– Masz coś przeciwko chusteczkom?

– Tak się zachowują faceci w powieściach romantycznych, ale nie w życiu. Jaki facet w dzisiejszych czasach nosi chusteczkę?

– Taki, który oddaje rzeczy do pralni.

Odwróciła się do niego plecami i wytarła nos. Gdy ponownie zobaczył jej twarz, była już opanowana. Prawie.

Jak mógł pomyśleć, że Tori jest nieciekawa?! Ona jest porażająco piękna!

– Ale ja mogę... stać mnie. Bez trudu. Nie musisz za to płacić.

– Wiem, ale... czy pozwolisz mi go tobie kupić?

– Znowu zaczynasz – mruknęła. – Naczytałeś się powieści romantycznych... Gdybym nie wiedziała, jak się nie nadajesz do szybkich randek, mogłabym pomyśleć, że brałeś lekcje rycerskości.

– Nie brałem. Załóż go. – Wyjął wisiorek z wyłożonego aksamitem etui, a ona bez słowa się odwróciła, by go jej zapiąć. Korzystając z okazji, musnął wargami jej szyję. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że się o niego oparła, rozluźniła, że mu zaufała.

– Jake...

Najchętniej pocałowałby ją jak należy, ale jej chwila słabości się skończyła. Odsunęła się pod pretekstem, że musi spojrzeć do lustra, ale on swoje wiedział. Czuł, jak zeszywniała. Poczł jej strach.

Chybiony ruch, pomyślał.

Sprzedawczyni znowu gdzieś zniknęła. Jak oni się tego uczą? Jednak gdy Tori podeszła do lustra, znalazła się tuż obok.

– Czy *madame* życzy sobie to zapakować?

– Tak, *madame* życzy sobie to zapakować – odparła cicho Tori drżącym głosem. Ukrycie tego było ponad jej siły. – *Madame* pokochała romantyczne powieści w wieku lat trzynastu, więc wie, kiedy traci głowę.

– Czy to znaczy, że zgadzasz się, żebym ci go sprezentował?

– Tak. To chyba to znaczy – oparła półgłosem.

U Chińczyka kupili jedzenie na wynos i zabrali je do domu, bo Tori padała z nóg.

Jake zwykł był jadać w kuchni, tym bardziej że jego stół był zasłany książkami i niedokończonymi referatami.

Mógłby je jakoś ułożyć, ale zabrałoby mu to z pół godziny, mógłby też podać jedzenie Tori w kuchni.

Ale był to ich jedyny wspólny wieczór w Nowym Jorku, więc uznał, że musi działać szybko. Jednym ruchem ręki zmiotł papiery ze stołu na podłogę. Genialne rozwiązanie. Kiedy po raz ostatni widział blat tego stołu? Kosztował majątek. To piękny stół.

Na pewno? – zadumał się, spoglądając na szary blat, dobrany tak, by pasował do szarych ścian w mieszkaniu. Przypomniały mu się krytyczne uwagi Tori na temat szarości. Hm.

Podczas posiłku Tori z rozbawieniem spoglądała na ten bałagan.

– Zajmie ci kilka dni ułożenie tego z powrotem – zauważyła w pewnej chwili.

– Mam czas. – Nie będzie miał żadnych ograniczeń czasowych po jej wyjeździe. Jeśli ona wyjedzie.

Jak zacząć tę rozmowę?

Ociągał się. Oboje pili wodę mineralną, mimo że wolałby piwo, ale liczył się, że w każdej chwili może być wezwany do pacjentki z pompą

morfinową. Włączył muzykę, która, o dziwo, jej się podobała. Muzyki nie wybierał za niego dekorator wnętrz.

– O której masz jutro samolot?

– Pod wieczór. Ale chyba cały dzień prześpię.

– Masz dosyć zwiedzania?

– Słyszałam, że warto pójść do Soho, ale nie wiem, czy się zdecyduję. A ty jutro pracujesz?

Tak. Zastanawiał się, co zrobić, by nie musieć jechać do szpitala, ale w poniedziałki lista zabiegów była najdłuższa. Gdyby się zwolnił, pacjentów odesłano by do domu.

– Nie możesz sprawić im zawodu – powiedziała cicho, dając mu do zrozumienia, że to rozumie.

W myślach przeglądał listę pacjentów. Pana Carvera odwiedził w piątek na oddziale kardiologicznym. Pan Carver miał tak poważne owrzodzenia kończyn dolnych spowodowane cukrzycą, że jedynym wyjściem była amputacja. Ryzyko utraty nogi narastało z każdym dniem.

Nie, tego zabiegu nie można odkładać, pomyślał ponuro. Musi odbyć się jutro.

Pani Ian z kolei, czekając na niego, będzie bez przerwy wpatrywała się w drzwi. Nie może jej zawieść.

– Gdybyś mnie uprzedziła, że tu będziesz... – mruknął, ale ona pokręciła głową.

– Podejrzewam, że i tak byłbyś zajęty, a ja nie planowałam zakłócać ci życia. I nie planuję. Zamiast Soho obejrzę sobie sklepy. Albo sobie pośpię. Tak czy owak wezmę taksówkę na lotnisko. Nie musisz mi towarzyszyć.

Zauważył jednak lekkie drżenie jej warg.

– Powinnaś tu zostać – oznajmił z naciskiem.

– Muszę wracać. Muszę się zorganizować, bo mam konkretny cel.

– Dlaczego tu nie zostaniesz?

– Już o tym rozmawialiśmy.

– Chcę się z tobą ożenić. Na moment ją замуrowało.

– Już to mówiłeś – szepnęła, dotykając łańcuszka na szyi. – To, że jestem z tobą w ciąży, niewiele zmienia.

– Chyba cię kocham.

Rzuciła mu przez stół drwiące spojrzenie.

– Chyba?

– Nie wiem. Tori, to mi się zdarza po raz pierwszy.

– Co takiego?

– To, że się zaangażowałem.

– Czy to znaczy, że stało się to wbrew twojej woli?

– Jak myślisz? – Przeganiał włosy palcami. – Nie potrafię nazwać tego, co czuję, ale zostaniemy rodzicami, a ty i tak musisz zacząć od nowa, bo wszystko straciłaś...

– Nie wszystko – odparła po chwili namysłu, wysoko unosząc głowę i spoglądając mu w oczy.

– Zgoda, masz psy.

– Oraz dom.

– W kontenerze.

– Mam całą społeczność. – Hamowała złość. – Mam pracę. – Z trudem zachowywała spokój. – Ty masz swoją pracę, równie ważną jak moja. Ale ja mam więcej: swoje miejsce na ziemi. Moi rodzice mieszkali i pracowali w Combadeen. I ja też. Są pochowani na tamtejszym cmentarzu, a psy za domem. Tak, przeżyłam wstrząs, padłam ofiarą pożogi i jej konsekwencji, ale panuję nad sytuacją. Chcę mieszkać w swoim domu w Combadeen, a nie w

sterylnym szarym apartamencie na siedemnastym piętrze trzydziestopiętrowego budynku.

– Ale to nie jest...

– Pudełko? – warknęła. – Oczywiście, że jest. Dziesiątki pudełek ustawionych jedno na drugim. Istotne jest to, co dookoła oraz to, co w środku. Tutaj każdego dnia będziesz w pracy, a ja się będę dusić w czterech ścianach.

– Mogłabyś pracować na pół etatu. Kupilibyśmy większe mieszkanie. Kurczę, Tori, ktoś musi się tobą opiekować.

– Nie potrzebuję pomocy.

– Jesteś brzemienna.

– Mimo to nie potrzebuję pomocy. – Gotowało się w niej. – Mam sąsiadów, przyjaciół i znajomych. Widziałeś mnie, jak byłam w dołku, ale na tej podstawie nie wolno ci oceniać mnie ani Combadeen. Tam nikt by mi nie zaproponował, żebym się przeprowadziła do ponurej kilkudziesięciopiętrowej wieży, gdzie bym oszalała z samotności.

– Tobie to nie grozi.

– W tym wieżowcu na pewno bym oszalała. – Wstała, piorunując go wzrokiem. – Ty też byś oszalał ale ty tu nie mieszkasz, tylko tu śpisz, podnosisz kwalifikacje albo bierzesz prysznic. To nie jest życie... Jake, ty nie wiesz, czym jest życie. Nie zamierzam wychowywać tu swojego dziecka i wmawiać mu, że takie życie jest normalne.

Przymknęła powieki i się zachwiała. Jake rzucił się ją podtrzymać, ale otworzyła oczy i się cofnęła.

– Nie!

– Słucham?

– Nie dotykaj mnie – wyszeptała. – Głupio postąpiłam, tu przyjeżdżając, chociaż, przyznaję, chciałam cię zobaczyć i powiedzieć o dziecku, ale to był błąd. Ty i ja... Nie, nie ma żadnego „ty i ja”.

– Tori...

– Jesteś sam i chcesz, żeby tak zostało. Ale ja, gdybym była sama, umarłabym. Ja potrzebuję ludzi. I psów... Po prostu życia. – Westchnęła. – Przepraszam, Jake. Niepotrzebnie się złościę. Wiem, że bardzo się starasz. – Potrząsnęła głową. – Okej, pora na spowiedź. Robię, co w mojej mocy, żeby cię nie pokochać. Powiadasz, że chyba mnie kochasz? No cóż, ja wiem, że mogę cię pokochać. Wiesz, co to znaczy? Że gdybym tu osiadła, groziłoby ci, że bym się ciebie uczepiła.

Nie zrozumiał.

– Dlaczego miałabyś się mnie uczepić? Miałabyś swoją pracę.

– Nie chodzi o pracę. Chodzi o to, że zaczęlibyśmy się nawzajem potrzebować. Ja ciebie, a ty mnie. Mówisz, że byś się mną opiekował, ale czy przyznałbyś, że i ty mnie potrzebujesz?

– Ja...

– Koniec, wystarczy. – Czuli, że traci panowanie nad sobą. – Ta rozmowa jest głupia, oboje to czujemy. Oboje jesteśmy dorośli, więc sobie z tym poradzimy. Czeka na ciebie twoja praca, a na mnie życie. – Zawahała się. – Jake, proszę, jestem wykończona i muszę się położyć. Dziękuję za piękny dzień. – Znowu dotknęła łańcuszka. – I dziękuję za ten wisiołek. Nigdy się z nim nie rozstanę, ale teraz... – Odetchnęła głęboko. – Teraz się położę. Sama. Tak musi być. Ty też to wiesz. Podejrzewam, że jak się rano obudzę, ciebie już nie będzie, więc wsiądę do samolotu i nie będę oglądać się za siebie. – Wzruszyła ramionami. – O kontaktach z dzieckiem porozmawiamy kiedy indziej. Zrobimy to na spokojnie. Jak zapomnimy, że spędziłam z tobą

najpiękniejszą noc w życiu i mam niestosowne myśli. Jake, tego mi trzeba. Dobranoc.

Nieoczekiwanie ujęła jego twarz w dłonie i go pocałowała, ale odsunęła się pospiesznie, nim zdążył zareagować.

– Dobranoc – powtórzyła. – I żegnaj.

Zniknęła za drzwiami jego sypialni, starannie zamykając za sobą drzwi.

Jej złość i święte oburzenie rozplynęły się, gdy tylko znalazła się sama. Ich miejsce zajęło przygnębienie.

Była po prostu nieszczęśliwa.

Jake poprosił ją o rękę, a ona odmówiła. Nie miałam wyjścia, tłumaczyła się przed sobą.

Na co miała nadzieję? Nadzieja to sedno tej sprawy. Koniec końców została zmuszona przyznać przed sobą, na co miała nadzieję. Pokochała go. Wmawiała sobie, że ta jedna noc to pierwszy krok ku nowemu życiu, ale to coś więcej niezależnie od ciąży. Jake powiedział, że chyba ją kocha, ale że nie wie, co to znaczy.

Miłość. Wspominała, jak ją przytulał, gdy chowała koalę, jak trzymał za rękę Glendę, jak śmiał się z Bitsy. Miała przed oczami Jake'a, który wyjaśnia pacjentowi, na czym polega znieczulenie w taki sposób, by ten wszystko rozumiał. Tak, Jake jest wspaniały.

– Oj przestań, marudzisz jak nastolatka – mruknęła. – Pokonałaś taki szmat drogi, a Jake był bardzo sympatyczny. Pokazał ci Nowy Jork, kupił piękny wisiorek, na wieść, że zostanie ojcem, zareagował honorowo. Nawet usiłował zrozumieć, jak mógłby cię pokochać. Czego chcesz więcej?

Niczego.

Leżał na twardej kanapie i wpatrywał się w szary sufit. Pokochał Tori...

Tak mówił, ale ona wyczuła, że nie to miał na myśli i chyba miała rację. Miłości człowiek uczy się miesiącami, może nawet latami. To stopniowo narastające zaufanie oraz uczucie. Nie to ich połączyło, a półtoraminutowa randka i jedna upojna noc.

Nieproszone zadźwięczały mu w uszach słowa matki. „Pokochałam twojego ojca w chwili, gdy go poznałam. To absurd! Wywiózł mnie do jakiegoś obcego kraju, do rzeczywistości, z którą nie umiałam sobie poradzić, i sam widzisz, co z tego wynikło. Miłość od pierwszego wejrzenia? Wolne żarty!”.

Wszystko bez sensu. Noc za długa, kanapa za twarda, a pojęcia miłości oraz domu go przerastają.

Nierealne było też to, że Tori powiedziała, że potrafiłaby go kochać, że mogłaby dla niego stracić głowę. Skoro tak czuje, to dlaczego nie chce wyjść za niego?

Powinien był ją przekonywać, że ją kocha? Jak bohater powieści romantycznej?

Byłby wtedy nie lepszy od ojca. Ale już przestał wierzyć, że ojciec był łajdakiem. Już sam nie wiedział, w co wierzy. Najtrudniejsze jest to... że za tymi drzwiami jest Tori.

Jego kobieta.

Nie, to nie jest jego kobieta. Nie ma do niej żadnych praw. Czuł jednak, że Tori jest jego kobietą.

– Więc co zrobisz, bohaterze? – mruknął. – Wejdiesz tam i weźmiesz, co ci się należy? Już wystarczająco narozrabiałeś. Rano czeka cię bardzo długa lista zabiegów, więc musisz się wyspać.

W końcu udało mu się wyciszyć i zasnąć.

Ale snów wyciszyć nie można.

Otworzywszy oczy, od razu się zorientowała, że Jake'a nie ma, bo w mieszkaniu panowała głucha cisza.

Zasypiając, miała nadzieję, że obudzi się wystarczająco wcześnie, by się pożegnać, ale sen przyszedł dopiero o świcie. Boso poczłapała do salonu tylko po to, żeby się upewnić, ale kanapa była już złożona, a starannie poskładana pościel leżała na oparciu.

Na ławie dostrzegła kartkę.

„Znowu problem z pompą morfinową. Bezpiecznej podróży. Zadzwoń”.

Pożegnalny list. Jak romantycznie... Zmięła go i wrzuciła do kosza.

W kuchni panował idealny porządek. Nie natknęła się choćby na kubek po kawie. Dotknęła czajnika. Zimny. Jake nawet nie pije kawy w domu.

Gdyby musiała tu mieszkać, to też by tu nie piła porannej kawy. Upiorne miejsce.

Wieczorem Jake tu wróci, pomyślała, coraz bardziej przytłoczona zimnym wystrojem wnętrza oraz jego nieobecnością. Przed wyjazdem ona wrzuci swoją pościel do kosza na brudną bieliznę, którą zauważyła nieopodal wyjścia z budynku, i być może, zanim Jake wróci, uprana pościel będzie już z powrotem.

Po jej wizycie nie zostanie żaden ślad.

Coś trzeba z tym zrobić.

Instynktownie dotknęła łańcuszka. Będzie jej największym skarbem. Tym cenniejszym, że podarował go jej Jake. Powinna była się nie zgodzić, ale jak długo można się opierać?

– Należałoby coś po sobie zostawić... – Rozglądała się bezradnie po designerskim wystroju. – Nie zgadzam się, żeby tkwił w tych szarościach, Zamyśliła się.

– Zrobiłam to dla siebie – mruknęła. – Nowy Jork? Może Soho? Taksówka. Albo dwie.

To zajmie trochę czasu. Więc na co czekasz? Jake chciał, żeby tu był twój dom. Może jest na to sposób, ale nie ten, który on sobie wyobraża.

Ze strony internetowej linii lotniczych dowiedział się, o której wylatuje jej samolot, i gdyby nie nawał pracy, być może wyrwałby się na lotnisko.

– Żeby się z nią pożegnać. – Dlaczego się z tego tłumaczy? To oczywiste.

Wskaźówki zegara miarowo się przesuwały, aż nadeszła szósta.

– Jeszcze nie czas do domu – odezwał się chirurg, a on zaczął się zastanawiać, jak bardzo jest z nim źle oraz ile już razy spojrzął na zegar ścienny w sali operacyjnej.

Nie jest z nim najgorzej. Ale...

Minuta po szóstej. Jej samolot lada chwila wzbije się w powietrze. Tori odleciała.

Z samolotu rześście oświetlona Statua Wolności prezentowała się imponująco.

Gdy Tori pociągnęła nosem, jej sąsiad ze współczującym uśmiechem podał jej papierową chusteczkę.

– Dziękuję – wykrztusiła, ale chlipnąwszy po raz drugi, zaczęła grzebać w torebce. – Bardzo dziękuję, mam swoje.

Skończyli operować o pierwszej w nocy, więc Jake był kompletnie wyczerpany psychicznie i fizycznie, tak że dotarł do domu na ostatnich nogach.

Zazwyczaj każdego dnia rano ćwiczył w siłowni, ale tego dnia tam nie poszedł. Wystarczył jeden raz, żeby nogi miał jak z waty. A może to z powodu rozstania z Tori?

– Nie wolno tak myśleć – przykazał sobie, ale przez cały czas, kiedy jechał windą, takie myśli go nie opuszczały.

Kiedy będzie mógł wyrwać się do Australii?

Po co? Jego miejsce jest tutaj, tutaj jest jego dom.

Dom. Przekręcając klucz w zamku, uznał, że to nie to. Sama szarość. Poczul się chory. Tori tu była, a on pozwolił jej odejść. Zostawić go w tej szarzyźnie.

Otworzył drzwi i nie poznał swojego mieszkania.

Tori zmieniła wystrój. Nie mogła kupić takich samych rzeczy jak w Melbourne, ale znalazła bardzo podobne. W Combadeen z beżowego kontenera wyczarowała mieszkancko pełne barw i życia.

Podobnie teraz.

Kolory, kolory i jeszcze więcej koloru. Poduszki, lampy, narzuty, wazony, grafiki, dziwaczne rzeźby, perski dywan, który kompletnie zakrył szarą glazurę, imitacja kominka!

Cudowne. Dotykając wszystkiego po kolei, przyłapał się na tym, że się uśmiecha. Bezduszne wnętrze stało się ciepłe i przytulne. Przykryty barwną tkaniną stół znalazł się pod ścianą, na której zawisło wielkie lustro odbijające ciepłe światło lamp. Pod przeciwną ścianą stało staromodne biurko, a na nim starannie ułożone książki. Tylko usiąść i czytać.

Zaintrygowały go dziwne odgłosy dobiegające z sypialni. Gdy otworzył drzwi, wyskoczył na niego niewielki brunatny kotek z białą plamką na końcu ogonka. Spoglądał na niego podejrzliwie, ale i z zaciekawieniem.

Za nim wysunął się drugi kotek, taki sam, ale trochę mniejszy i bez plamki na ogonie.

Birmańskie? Wyglądały jak syjamskie, ale nie do końca.

Pierwszy obwąchał mu buty, po czym obszedł je dookoła, drugi przysiadł i tylko patrzył. Koty...

Na łóżku, na pstrokatym patchworku, leżała kartka.

„Szukałam drugiego takiego samego wisiora, ale nie znalazłam, więc zamiast tego masz Ferdy'ego i Freddy'ego. Adres sklepu, w którym je kupiłam, jest na kuwecie. Zapłaciłam podwójnie, żebyś mógł je zwrócić, jeśli ci się nie spodobają. Mimo to radzę ci je zatrzymać. Przez cały dzień będą dotrzymywać sobie towarzystwa, a jak wrócisz do domu... Dzięki nim to będzie prawdziwy dom”.

Uśmiechnął się. Ferdy i Freddy.

Ferdy, a może Freddy, miauknął, po czym oba z podniesionymi ogonami ruszyły w kierunku lodówki.

Jak się postępuje z kotami?

Zdeprymowany otworzył lodówkę, ale odpowiedź na pytanie sama rzuciła mu się w oczy. Tori pomyślała o wszystkim.

– Musicie wrócić do sklepu – powiedział, napełniając im miseczkę. – Ale nie w środku nocy.

Kiedy znajdzie jutro czas, by odwieźć je z powrotem?

Zanim się położy, musi jeszcze trochę popracować, przygotować się do jutrzejszego przypadku. Usiadł przy swoim nowym biurku i otworzył podręcznik.

W sekundę Ferdy wskoczył mu na kolana, Freddy za nim. Jak tu pracować, jak... jak jest się w domu?

Gdzie jest teraz Tori? Nad Hawajami?

Chyba bliżej. Ale i tak za daleko.

Czegoś mu brakowało.

– Nie mogę – zwrócił się do kotów, drapiąc je za uszami. – Wykluczone.

Tu mam pracę.

– Owszem, ale...

– Skomplikowała mi życie.

– Dam sobie radę z tymi komplikacjami.

Nie dam, pomyślał. Nie od razu. Trzeba to przemyśleć.

– Miłość wymaga czasu – pouczył koty. – Miesiące, a nawet lat.

O latach nie chciał w ogóle myśleć. Zamknął oczy. Obłąd. Jest samotnikiem. Ferdy wbił mu pazury w udo, po czym zaczął je ugniatać.

– Nie dla mnie zwierzątko – wycedził przez zęby. Nie dla mnie...
miłość?

To nie tak. Prześpi się, a jak się rano obudzi, będzie miał jasną głowę.

Może tak, a może nie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Operacja Harleya trwała bardzo długo. Sznaucer miał zaledwie siedem lat, ale wykryto u niego ropień wątroby, przypadłość wymagającą natychmiastowej interwencji polegającej na usunięciu części wątroby.

Na szczęście Tori nie była sama. W przychodni, w której się zatrudniła, pracowali wyspecjalizowani chirurdzy, więc tym razem wystąpiła w roli asystentki.

Mimo to była wykończona.

W piątym miesiącu ciąży powinna tryskać energią, ale tak nie było. Bardzo się starała, ale niewiele mogła z siebie wyrzesać. Od powrotu z Nowego Jorku, zgoda, od wyjazdu Jake'a z Combadeen coś męczyło ją bardziej niż ciąża. Jakaś siła próbowała ją wciągnąć z powrotem w mroczną otchłań, w którą zapadła się po pożarze.

Powtarzała sobie w duchu, że się nie podda. Ma przyjaciół, dobrą pracę, udanych współpracowników. Właśnie uratowała Harleya, a w domu czekają na nią Rusty i Itsy. W ciągu dnia były u Doreen i Glendy, ale doskonale wiedziały, kto jest ich panią, więc gdy przyjeżdżała po nie, szalały z radości.

Już na nią czekają. Zerknęła na zegarek. Jeszcze tylko rozmowa z właścicielami Harleya, potem kupi coś na podwieczorek i pojedzie...

Weekend, pomyślała. Dwa dni w domu. Ale z weekendami wiązały się inne problemy. Większość mieszkańców kontenerowego miasteczka spędzała ten czas w górach, pracując przy odbudowie swoich domostw, ale ona wciąż do tego nie dojrzała. Był jeszcze jeden problem: w weekendy miała czas myśleć o Jake'u. Operacja dobiegła końca.

– Lepiej nie będzie – orzekł lekarz. – Przekażesz jego mamusi i tatusiowi dobrą nowinę?

Jasne. Z promiennym uśmiechem otworzyła drzwi, a tam siedział... Jake, pochłonięty lekturą magazynu „Koń i Pies”. Właściciele Harleya, starsi państwo zakochani w swoim pupilu, zerwali się z krzeseł. Jake uśmiechnął się dyskretnie, dając jej do zrozumienia, że wie, co jest jej priorytetem, po czym wrócił do lektury.

– Witam – zwróciła się do Idy i Paula. – Wszystko w porządku, a nawet lepiej. Usunęliśmy dwadzieścia pięć procent wątroby z dużym marginesem zdrowej tkanki, na pewno usunęliśmy wszystko. Teraz tylko należy pilnować cholesterolu, a jestem przekonana, że Harley dożyje zaawansowanego wieku.

Patrzyli na nią bez słowa, aż w pewnej chwili Paul ukrył twarz w dłoniach i opadł na krzesło. Płakał. Żona przysiadła przy nim i go objęła. Gdy Tori podsunęła mu pudełko z chusteczkami, chwycił całą garść. Oczekwała, aż się uspokoją. Przez cały czas czuła, że Jake ją obserwuje, ale nie mogła ich ponaglać. Oni też stracili wszystko w pożarze. Ocaleli, bo przykryci kocami schronili się w zbiorniku na wodę. Harley był z nimi pod kocem.

W końcu Paul głęboko odetchnął, więc Tori powoli powtórzyła, że operacja się udała. Posypały się pytania. Przyczyną ropnia była hipercholesterolemia, poważnie przekroczony poziom cholesterolu. Sznaucery mają do tego wrodzoną skłonność, więc przed pożarem Ida i Paul sumiennie przestrzegali zaleceń weterynarza, ale po tej tragedii nie potrafili się oprzeć błagalnym spojrzeniom Harleya. Więc objadał się serem, kiełbasą i czekoladą, aż w końcu jego wątroba nie wytrzymała.

– Czy teraz będziecie twardzi? – zapytała Tori, na co Ida uśmiechnęła się skruszona.

– Dawno, dawno temu byliśmy surowymi rodzicami. Możemy to powtórzyć, prawda, Paul?

– Chyba tak...

– W przyszłym tygodniu wprowadzamy się do nowego domu, więc Harley nareszcie będzie miał spokój.

– Nie można czekolady? – jęknął Paul.

– Z czekoladą koniec. – Ida spojrzała wymownie na jego pokaźny brzuch. – Nareszcie mam was obu, więc wybacz, ale nie chcę ryzykować. Możemy go zobaczyć?

– Oczywiście. Jest w sali pooperacyjnej. Pożegnali się, a ona została sama z Jakiem.

Odłożył „Konia i Psa”.

– Cześć – wykrztusiła. – Co tu robisz?

– Chciałaś chyba powiedzieć „Witaj”.

– Witaj. – Czy on czuje, jaką sprawił jej przyjemność?

– Potrzebuję pięciu minut twojego czasu.

– Pięciu?

– Najlepsze randki trwają pięć minut. W ciągu pięciu minut można poznać swoją największą miłość. A jak się postarać, to wystarczy nawet półtorej minuty.

W głowie jej szumiało.

– Harley rzeczywiście wydobrzeje? – zapytał, żeby dać jej czas ochłonąć.

Tak, rozmowa o przypadkach. To jej dobrze zrobi, pomoże wziąć się w garść.

– To była piękna resekcja wątroby. Podręcznikowa. Mamy świetnego chirurga, Guya Sallera.

– Nie ty operowałaś?

– Nie mam takich umiejętności.

– Zaczęliście od antybiotyku i drenażu?

– Próbowaliśmy wszystkiego. Wiem, że resekcja to ostateczność, ale nie było wyjścia. Gdybyśmy czekali dłużej, doszłoby do perforacji. To młody i silny pies, więc jego wątroba ma szansę się zregenerować. Na szczęście nie pije alkoholu, więc mu nie grozi marskość.

– Badaliście go na marskość wątroby?! – Jake nie krył zdumienia.

– Takie rzeczy się zdarzają. – Poczwała, że już może się uśmiechnąć. – Ida i Paul wszystkim się z nim dzielili, więc dlaczego nie łyżeczka sherry przed snem?

– Nie żartuj.

– Widziałam psy z zatruciem alkoholowym. Głupota ludzka nie zna granic. Jake, dlaczego tu jesteś? – Ponieważ milczał, ogarnął ją niepokój. – Problemy z pensjonatem?

– Żadnych.

– Przyjechałeś podpisać dokumenty sprzedaży? Wiem od Roba, że dom na farmie został odnowiony.

– Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać.

– Jak to?

– Tak. Więc pięć minut...

– Już po czasie. – Znowu brakowało jej tchu.

– Nie. Czas będzie liczony od chwili, kiedy znajdziemy się w wyznaczonym miejscu. Pierwsza randka była w ratuszu w Combadeen, druga odbędzie się gdzie indziej. Wynająłem samochód. Czy mogę cię zawieźć na wyznaczone przeze mnie miejsce tego spotkania?

– Wyznaczone przez ciebie...

– To niedaleko.

– Muszę odebrać psy.

– Odwiedziłem Glendę i Doreen. Musiałem coś zrobić z czasem – wyjaśnił z uśmiechem na widok jej zdziwienia. – Wylądowałem pięć godzin temu, zajechałem do ciebie, ale mi powiedziano, że jesteś w lecznicy i szybko nie wrócisz. W przeciwieństwie do Mahattanu tutaj wszyscy są chętni do rozmowy. – Wzruszył ramionami. – Wysłuchałem sprawozdania o stanie zdrowia Doreen i postępach, jakie robi ręka Glendy, a także zostałem obśliniony przez pewnego energicznego golden retrievera. Tak na marginesie, czym ją karmisz? Aha, i kupiłem Bitsy.

– Kupiłeś Bitsy... – powtórzyła jak echo.

– Nie mogłem przestać o nim myśleć. Od dawna chciałem go mieć, tak jak kijka innych rzeczy. Powtarzałem sobie, że to głupie, ale z czasem człowiek zaczyna w to wierzyć i robi głupie rzeczy. – Uśmiechnął się. – Pojechałem do tych hodowców i okazało się, że rzeczywiście go zatrzymali dla siebie, ale za pieniądze można wszystko. Zabiorę go od nich, jak załatwię parę innych spraw. – Zawahał się. – Nie, tylko jedną. Tori, pięć minut. Pojedziesz ze mną, żeby mnie wysłuchać?

– Myślę, że nie...

– Nie myśl, myślenie tylko przeszkadza. Myślałem i myślałem i nic z tego nie wyszło. Aż w końcu przestałem myśleć i zacząłem słuchać głosu serca.

Jechali w milczeniu. Minęli Manwillinbah Lodge, minęli spalony las i wjechali w góry.

Dzięki sprzyjającej pogodzie busz wracał do życia w przyspieszonym tempie. Osmalone drzewa wypuszczały zielone pędy z poczerniałych pni, a paprocie i trawy wyzierały spod popiołu. W dalszym ciągu widziało się rozmiar zniszczeń, ale krajobraz przestał być szary.

Ludzie się odbudowywali. Co druga działka była już oczyszczona, stały na nich do połowy postawione domostwa. Wiele rodzin mieszkało w przyczepach campingowych, by nie dojeżdżać na plac budowy.

Wróciły ptaki, na poboczu drogi kangury skubały trawę. W zapadającym zmroku mało kto by uwierzył, że przeszła tędy pożoga, pomyślała Tori.

Ale to wszystko strawił ogień, a jej życie już nigdy nie będzie takie jak wcześniej. Z drugiej strony, gdyby nie pożar, nie poznałaby Jake'a. Nie zaszłaby w ciążę... Przyłożyła dłonie do brzucha.

– Dziękuję za zdjęcia USG – powiedział Jake, najwyraźniej zauważywszy ten gest.

– Podobały ci się? Mam je zawsze w torebce.

– A ja je noszę w portfelu.

– Żartujesz.

– Moje dziecko, mój portfel. – Uśmiechnął się. – Uważnie się im przyglądałem, ale wszystkie są pod złym kątem. Czy już wiemy, co się nam urodzi?

My. Wzruszenie ścisnęło ją za gardło.

– Nie chcę wiedzieć. Lubię niespodzianki.

– Jak, na przykład, ta moja wizyta?

– Nie wiem, co o tym myśleć.

– Nie myśl, tylko czuj. To jedyny bezpieczny sposób Milczała, aż zatrzymali się u celu, czyli przed domem Jake'a na farmie, tym samym, w którym prowadziła schronisko dla zwierząt. Teraz prawie go nie poznała.

Świeżo pomalowany białą farbą, z werandą biegnącą, dokoła, belkowaniem oczyszczonym i zakonserwowanym. Okna umyte, a w nich powiewające na wietrze białe firanki. W ogrodzie morze róż.

Po co Jake ją tu przywiózł?

– Musisz zobaczyć coś jeszcze, zanim ci wszystko wyjaśnię – powiedział, pomagając jej wsiąść.

Wzjął ją za rękę i wyprowadził z powrotem na drogę, do następnego podjazdu.

Jej dom. Został z niego tylko komin, ale już nie czuła smutku. Jego miejsce w jej sercu zajęły psy, nowa praca, kształtujące się w niej nowe życie.

Oraz ciepło dłoni Jake'a.

Na pniu powalonego drzewa rozłożył pled i ostrożnie ją posadził.

– Zrobiłem wszystko, co mogłem zrobić bez ciebie – zaczął, przysiadając obok. – Teraz jesteś mi potrzebna.

– Do czego?

– Żeby pokierować moimi planami. Mam do wyboru trzy kierunki, ale nie wiem, który wybrać.

– Nie rozumiem.

– Okej. – Ujął jej dłoń. – Na początek najważniejsze. Wróciłem na ziemię ojców.

Zaniemówiła.

– Tutaj się urodziłem – ciągnął, niespieszony jej milczeniem. – Podejrzewam, że zostałem poczęty w tamtym domu, tak jak ty w tym. Jest takie powiedzenie, że najczęściej człowiek się żeni z dziewczyną z sąsiedztwa. Co ty na to?

Powinna coś powiedzieć, ale co?!

– Chyba za bardzo się rozpędziłem. – Uśmiechnął się szeroko. – Zrezygnowałem z pracy na Manhattanie, przeszedłem szkolenie z zakresu walki z bólem. Muszę jeszcze trochę się podszkolić, ale mogę to robić tutaj. – Uścisnął jej rękę, dając jej sygnał, że jeszcze nie skończył. – Tori, rosłem w przekonaniu, że nic dla ojca nie znaczę. Matce też byłem obojętny, więc

nauczyłem się tłumić emocje. – Westchnął. – Ale widziałem, jak cierpisz z powodu śmierci koali, poznałem mieszkańców Combadeen, ludzi, którzy kochali mojego ojca i których on kochał. Wtedy zrozumiałem, że moje wychowanie opierało się na kłamstwie. Spojrzała na niego.

– Chcę ci tylko wytłumaczyć, dlaczego tak długo trwało, zanim przejrzałem na oczy. Jak wyjechałaś, dalej chodziłem do pracy, powtarzając sobie, że jestem durny, ale ty ubarwiłaś moje mieszkanie.

– Wiedziałam, że ci się spodoba. – Rozpierała ją absurdalna duma.

– Bardzo – przyznał. – Wszystko tu przywiozłem. I polubiłem koty. Mam nadzieję, że Itsy, Bitsy i Rusty będą dla nich łaskawe, bo to bardzo zadziorne koty.

Nie dowierzała własnym uszom.

– Przeprowadzisz się tutaj?

– Już się przeprowadziłem.

– Jak to?

– Nie mogę?

– Twoje życie jest na Mahattanie.

– Moje życie jest z tobą.

Serce w jej piersi zwariowało. Dziewczyno, uważaj, to nie to, co myślisz.

– Jake, kontakty z dzieckiem można załatwić inaczej – wykrztusiła. – Rozumiem, że chcesz mieć wpływ na wychowanie naszego dziecka, ale...

– Chcę znacznie więcej – wszedł jej w słowo. – Chcę widzieć, jak się budzi rano, chcę mu czytać na dobranoc. Chcę...

– Zmieniać pieluchy?

– To też. – Nawet się nie uśmiechnął. – Chcę wstawać do niego w nocy i chodzić na jego szkolne przedstawienia. Czy ty wiesz, że moja matka nigdy, ale to nigdy nie przyszła na szkolne przedstawienie? Ja będę chodził na każde.

– Czy to znaczy, że ja już nie muszę? – zażartowała.

– Myślę, że jest to praca zespołowa – odparł z powagą. – Mama i tata mają siedzieć razem.

– Jake...

– Zdaję sobie sprawę, że to za szybko. Wiem, że to spotkanie trwa już ponad pięć minut, ale chcę ci złożyć pewną propozycję. – Pomógł jej wstać i poprowadził tam, gdzie dawniej stał jej dom. – Należy dokonać wyboru. Jak już mówiłem, są trzy możliwości.

– Trzy.

– Pierwsza: padasz mi w ramiona tu i teraz, i od tej pory mieszkamy w domu mojego ojca. Ta opcja najbardziej mi odpowiada, bo można ją zrealizować już dzisiaj – wyjaśnił pośpiesznie. – Ale nie naciskam.

– Jake...

– Wysłuchaj mnie do końca. Gdybyśmy wybrali dom ojca, tutaj można by otworzyć schronisko oraz lecznicę dla zwierząt, głównie dla koni, jak dawniej. I nazwać ją imionami waszych psów: „Lecznica dla Zwierząt Mutsy'ego, Poga i Bandita”.

– Ale...

– Możliwość druga: ty chcesz dalej tu mieszkać. Oczywiście ze mną. Wówczas lecznicę można otworzyć u ojca. To, kochanie moje, wymagałoby trochę czasu, bo tam mamy gdzie mieszkać, a tu jeszcze nie.

– Twoje kochanie?

– Nie mam co do tego wątpliwości. – Przytulił ją. – Na koniec możliwość trzecia. Jeżeli mnie nie chcesz, jeżeli jeszcze do tego nie dojrzałaś albo

uważasz, że zasługujesz na kogoś lepszego, to pomogę ci odbudować ten dom, a sam będę mieszkał po sąsiedzku, żeby nauczyć Hildebrand zasad bejsbolu.

– Hildebrand?

– Nad tym jeszcze będzie czas się zastanowić.

– Jake...

– Słucham.

Nie mieściło się jej to w głowie.

– Chcesz mieszkać tu, a pracować na Mahattanie?

– Będę pracował tutaj. Wiem od Susie, że mogę zacząć choćby jutro.

– Jake, przestań...

– Obiecałem sobie, że nie będę naciskał. Masz wybór, ale, kochanie, nie spiesz się. – Nieoczekiwanie wziął ją na ręce i zaniósł tam, gdzie kiedyś był jej dom, a teraz ostał się z niego tylko osmalony kominek, ale półka nad nim się zachowała.

Na zetlałym drewnie ujrzała czerwone pudełeczko.

– To na później – ostrzegł ją. – Będzie tu czekało, aż dojdiesz do wniosku, że przyda ci się w życiu mężczyzna. Będę w pobliżu, jak tylko zajdzie taka okoliczność.

– Zostawiłeś je tutaj?

– Jak tu przyjechałem, zastałem trzy kangury. Obiecały go pilnować. Chcesz go zobaczyć? Nie dorównuje temu z Tiffany'ego.

Co miała powiedzieć?

– Tylko go obejrzę. – Miała ochotę się roześmiać, widząc, jak bardzo jest spięty.

Otworzył pudełko. Taki sam jak u Tiffany'ego. Dech jej zaparło, jednak gdy wyciągnęła palec, by go dotknąć, Jake błyskawicznie opuścił wieczko.

– Tori, jeszcze nie teraz. Zdecydowanie za wcześnie. Ma tu zostać, aż będziesz pewna swoich uczuć.

Nie żartował. I nie będzie jej ponaglał. Ona może tu mieszkać, a on będzie po sąsiedzku, ojciec jej dziecka, lekarz wszystkich mieszkańców Combadeen...

Czy to za wcześnie? Po co jej pięciominutowe randki? Położyła mu dłonie na ramionach.

– Zastaniasz mi. – Odsunęła go. – Zastaniasz mi to, czego pragnie moje serce.

Sięgnęła po pudełko, po czym bez wahania wsunęła pierścionek na palec.

Czerwony rodzinny mikrobus zajechał pod dom Starego Doktora. Jake razem z Tori wynieśli z tylnego siedzenia nosidełko z Charlotte Elizabeth Hunter.

Na powitanie im wybiegły trzy psy i dwa koty, ale hierarchia została ustalona już kilka miesięcy wcześniej: koty pędziły przodem. Nie tylko one tresowały psy. Jake też się do tego przykładał. Praca w zespole.

Z kuchni dolatywały smakowite zapachy. Zadbaly o to Glenda i Doreen, które teraz dyskretnie się ulotniły.

Praca w zespole. Wszędzie zespołowy wysiłek, pomyślał Jake, spoglądając przez odradzające się zarośla w stronę sąsiadującej lecznicy dla zwierząt, w dawnym domu Tori.

– Nie mam nic przeciwko opcji numer jeden – powiedziała Tori. – Dom jest tam, gdzie nasze serce.

Dom, przeszło mu przez głowę. Dom to psy, koty i złota rybka o imieniu Jake.

Dom to gorąca czekolada, sprzątanie po psach, odganianie papug, które skubią farbę z werandy. To pacjenci, którzy zjawiają się nieproszeni oraz przyjaciele.

Ledwie zamknęli za sobą drzwi, gdy ktoś zapukał. Na progu stała dziewczynka, tuż za nią koń.

– Proszę... – odezwała się dziewczynka – mój koń nadepnął na gwóźdź. Wbił mu się bardzo głęboko. Tata mówił, że pani ma maleńkie dziecko, ale że pani mu pomoże...

Ku zdumieniu Jake'a Tori się uśmiechnęła.

– Nie ma sprawy – powiedziała i nim się zorientował, Charlotte znalazła się w jego ramionach. – Mąż zajmie się małą. Przyniosę tylko swoją torbę.

Siedział z dzieckiem na rękach na werandzie i podjadał ciasto czekoladowe, u jego stóp drzemały psy, a Tori zajmowała się końskim kopytem.

Dom, pomyślał, uśmiechając się. Mój dom jest tutaj.